OGNISKO.

PISMO ZBIOROWE,

polityczne, moralne, ekonomiczne i przemysłowo-rolnicze

wychodzące pod dyrekcyą

WALEREGO WIELOGŁOWSKIEGO.

ZESZYT III.
(Miesiąc Kwiecień 1865.)

SPIS RZECZY.

KRAKÓW.
Nakładem Księgarni i Wydawnictwa dzieł katolickich Walerego Wielogłowskiego.
Odpowiedzialny Redaktor *Walery Wielogłowski.*

CZCIONKAMI KAROLA BUDWEISERA.
1865.

„OGNISKO“

wychodzi zeszytami miesięcznemi w terminach ściśle nieoznaczonych.

Dwanaście zeszytów stanowić będzie Tom jeden, do którego się okładka tytułowa i spis przedmiotów dołączy. — Drogą przedpłaty kosztuje „OGNISKO“ (za 12 poszytów) dla Prenumeratorów miejscowych **Złr. 4 w. a.** — Dla zamiejscowych z przesyłką pocztową **Złr. 5 w. a.** — Za granicą **tal. 3. 10 sgr.** — **rublami 3. 50 kop.**

Każdy pojedyńczy zeszyt poza drogą prenumeraty, sprzedawać się będzie we wszystkich Księgarniach krajowych po **60 cent.** — za granicą **Złp. 2. 12 gr.** — **(12 sgr.)**

☛ Wszystkie przesyłki oraz i korespondencye do Redakcyi uprasza się uskuteczniać pod adresą:

„Do Księgarni i Wydawnictwa dzieł katolickich w Krakowie“.

Naród wobec stronnictw i przywłaszczycieli.

Czyjaż jest dzisiaj Ojczyzna? godzi nam się zapytać wobec tylu przywłaszczycieli roszczących sobie wyłączne do niéj prawo! Trzeba się przecież w téj sprawie porozumieć, bo każdemu chodzi o jakieś w niéj miejsce.

Nam się zdaje, iż Ojczyzna czyli spuścizna po ojcach należy do wszystkich dzieci, stanowiących jednoplemienne społeczeństwo. Nie jest ona podzielną, ale pozostaje na wieki moralnym fideikomisem pokoleń obecnych i przyszłych. Nie może być zniesioną ani zatartą, jak również nie może być przez żadne pojedyncze stronnictwo wyłącznie przywłaszczoną. Kraj w całości swéj lub częściowo, mógłby przejść pod obce panowanie czyto siłą podboju lub wskutek traktatów, może uledz politycznym i socyalym przenmianom, ale Ojczyzna owa istota moralna, nie przestanie wyobrażać prawego rodzicielstwa dla tych wszystkich, którzy w niéj wiekowe przewiedli życie, w niéj i dla niéj się poświęcali, wspólny dogmat wiary przyjęli, jednym prawom ulegali, jedném mówią narzeczem, jednym rządzą się obyczajem i wspólną obsiedlają ziemię. Należy Ojczyzna i do tych, którzy choćby z innego pochodząc plemienia, dobrowolnie się być jéj synami mienią i przyjmując warunki zasadnicze jedności narodowéj, przez pracę na wspólnéj ojczystéj roli lub w innych gałęziach gospodarstwa narodowego przyczyniają się do jéj moralnego i materyalnego wzbogacenia. Każdy téż ma według nas prawo włączenia się do Ojczyzny, jeżeli pod względem religijnym, moralnym i materyalnym przyjmuje warunki obywatelstwa; ale nikt należąc już raz do niéj, nie może się wyłączać od wspólnych uprawnionych dla Ojczyzny obowiązków, tak jak syn nie ma prawa wyprzeć się matki swojéj i działać na jéj szkodę. W końcu nikomu nie przysługuje przywiléj wyłącznego dla siebie lub dla stronnictwa przywłaszczania w Ojczyźnie ogólnych praw i zarządzania powszechną narodu własnością, jeżeli ku temu wyraźnego nie odebrał mandatu. Przypisywanie sobie dowolne takiego przywileju byłoby wtrętném narzucaniem się ogółowi, wdzieraniem się w prawa powszechne, a ztąd nazywałoby się samozwaństwem lub uzurpacyą. Co do nas to nikogo w narodzie z praw synowstwa wyłączaćbyśmy się nie poważali, ale téż żadnym dyletantom w szczególności wyłącznego prawa nie przyznajemy i wolelibyśmy ra-

czéj powiedzieć, że Ojczyzna należy do tych, którzy na zagonie ojczystym siedzą i tenże uprawiają, jak ją przyznawać takim, którzy wedle wyrażenia ludu naszego *„mają tylko drogę przez wieś.“*

Gdybyśmy jednak do saméj tylko ziemi przez przodków naszych obsiedlonéj, przywięzywać mieli pojęcie o prawach w Ojczyznie, tobyśmy przyznawszy wyłącznie to prawo rolnikom obsiedlonym na większéj i małéj posiadłości, odepchnęli od piersi matczynéj wszystkie te dzieci, które chociaż niewyposażone ziemią, na inném przecież polu dla kraju pracują i mnożą jego korzyści. Gdybyśmy znowu rzeczywistych posiadaczy, to jest ową warstwę obsiedloną a dającą wszelkie rękojmie spełnienia obywatelskich obowiązków, skazali na stan pewnéj bierności i poddali ich pod rząd części społeczeństwa lotnéj i ruchliwéj, która nie jest przypiętą do stałego gruntu, ale żyje więcéj w sferze abstrakcyjnéj i na chmurach fantazyi, tobyśmy Ojczyznę naszą, jak balon bez stałego kierunku wichrom powierzywszy, na widoczną zgubę narażali. Wolimy więc powiedzieć, iż Ojczyzna należy do wszystkich: prawo w niéj jest wszystkim wspólne, ale zarząd onéj sprawują przeważnie ludzie, rozumem, zasługą i doświadczeniem do tego uprawnieni, widocznie przez Opatrzność wskazani, a przez ogólny głos lub przyznanie narodu powołani.

Każde społeczeństwo narodowe podobne jest do pszczelnego ula, w którym spostrzegamy trzy gatunki pszczół: matkę, która rządzi, pszczoły pracownice wyrabiające korzyści z miodu i wosku, a w końcu trębacze czyli trutnie, które żyjąc zarobioném przez pszczółki pracownice bogactwem, otrębują pochód nowego roju, a potém usuwają się jako niezdolne sprawować użytecznéj w pszczelnym ulu funkcyi. Każdy rój czyli pokolenie wydaje z siebie te trzy rozmaite gatunki, które chociaż stanowią wspólną w ulu rodzinę i do wspólnych przypuszczone są korzyści, to spełniają przecież różne i oddzielne funkcye.

W społeczeństwie ludzkiém widzimy powtórzenie tegoż samego porządku. Są ludzie, którzy rządzą jako macierz pszczelna; są inni, którzy pracują i mnożą korzyści; są wreszcie i tacy, którzy tylko trąbią w chwili rojenia się społeczeństwa. Przestawienie tych obowiązków sprowadza nieporządek, grozi niebezpieczeństwem, zrządza klęski a czasem zagładę. Nie mówię jednak, iżby cały ul społeczny nie należał zarówno i nie był wspólną własnością *matki, pracownic* i *trębaczy,*

ale powiem, że ci ostatni nie mają w nim prawa wyłącznéj własności ani zarządu.

Od pewnego czasu widzimy w naszém społeczeństwie, że się te wszystkie funkcye pomięszały, a jakaś część luźnych mieszkańców kraju przywłaszczywszy sobie prawo udzielnego zarządu losami Ojczyzny, cięży teroryzmem nad resztą społeczeństwa, burmistrzuje w powszechnéj gromadzie, roztrąca jedność, burzy pokój, waśni dzieci jednéj rodziny, grozi i straszy, sądzi i karze, nurtuje wewnątrz i podważa kardynalne zasady wiekowego żywota narodu, a to wszystko w imię przywłaszczonéj sobie w Ojczyźnie władzy, niezaczerpniętéj w narodzie, ale wylęgłéj w stronniczéj zmowie. To samozwaństwo pokryte ułudną szatą gorliwszego patryotyzmu i uczuć gorętszych, chciałoby samo rozcinać węzeł narodowych przeznaczeń i podbić go pod berło nieuprawnionéj swéj uzurpacyi. Powiedział wprawdzie kiedyś Ludwik XIV: „*L'etat c'est moi*,“ ale bo téż on był prawą macierzą narodowego ula, był rządem prawym, jawnym, przyznanym i nietylko w własnym kraju słynnym, ale i w całym świecie głośnym. Lecz jakażby to była parodya, gdyby każdemu amatorowi lub pyszałce chciwemu władzy, każdemu burzycielowi z przypadku lub z rzemiosła, zachciało się wbrew uznaniu narodu i uszanowaniu praw istniejących, wykrzyknąć odrazu: L'etat c'est moi“; — gdyby, mówimy, każdy samozwaniec a nawet władza bezimienna przywłaszczała sobie najwyższy w narodzie urząd? Wytworzyćby to musiało stan anarchii, nieskończenie dotkliwszy od saméj niewoli, a ta do takiéj rozpaczy przywiodłaby resztę społeczeństwa, iżby niejeden oburzony i zgorszony, uważać musiał nawet despotyzm za lekarstwo na powszechny społeczny zamęt.

Nic nie osłabia tak narodu, jak bezprawie, a najsroższe nawet prawodawstwo znośniejszém jest od wyuzdanego bezrządu, który zostawiając dowolności pojedynczych czynników prawo nad ciałem, duszą i majątkiem obywateli, wszystkich naraża, nikogo nie zabezpiecza, otwiéra pole dowolnéj zemście, płynącéj z osobistéj zawiści lub zazdrości, myśl i ducha ujarzmia, trwogę powszechną budzi, i jedność społeczeństwa roztrąca.

Każdy wtenczas posiadający równe prawa w kole powszechnéj rodziny zwanéj narodem, i będący synem wspólnéj matki zwanéj Ojczyzną, ani przyznać, ani uszanować nie może takiéj arbitralnéj władzy, która go z przyrodzonych mu praw wyzuwa; ale owszem, rozglądając

się z boleścią w tym społecznym nieładzie, zdaje się sam siebie pytać, jakiém prawem część najmniéj w kraju zasłużona, w poświęceniu i cnotach niewypróbowana, z przeszłości nieznana, w obecności nieuprawniona a przyszłości wątpliwéj, zagarnęła dla siebie wyłączną własność Ojczyzny? Widzi fakt, patrzy z trwogą na tę powietrzną trąbę, która rośnie za każdym krokiem wplecioną w swe kłęby ludnością, słyszy grom i łoskot burzy, przygląda się ruinie ojcowskiéj budowy; poznaje dzieci swoje przez wir szalony niesione; przywołać je do siebie pragnie a nie może, wstrzymać nie zdoła, bo głos jego ginie wśród wycia orkanu! Siły jego słabną, tuman ziemskiego pyłu widzieć naprzód nie pozwala, a więc w tych okropnych chwilach, człowiek pomimo wspólnych praw do Ojczyzny, zdaje się być odrazu z niéj wydziedziczonym; wątpi aby do niéj należał, a niepoznając matki Ojczyzny po dawnych jéj rysach pełnych tkliwéj łagodności, widzi w niéj raczéj swoją prześladowczynię i kryje się przed jéj obliczem, trwoży jéj pogróżkami i czuje się być obcym u siebie, a w domu rodzicielskim sierotą.

Oto są skutki dowolnego przestawienia funkcyj społecznych i przywłaszczenia sobie zarządu nad Ojczyzną, przez ludzi ku temu nie powołanych i nieuzdolnionych, ani uprawnionych, lub téż przez zazdrosne stronnictwo niedobijające się praw w narodzie zasługą i pracą, ale pragnące zdobyć one szturmem, to jest drogą zawichrzeń i powszechnego wywrotu.

Mówią nam niektórzy, iż skoro inicyatywa ku dobru powszechnemu nie płynie z góry, to musi iść z dołu, i tém tłomaczą gwałtowne przestawienie funkcyj społecznych a usprawiedliwiają swoje przywłaszczenia. Na ten zarzut odpowiemy, że, jak do ocenienia powszechnego dobra nie każdy jest uzdolnionym, tak tém mniéj znać może środki zbawiennego dla kraju ratunku i rozporządzać siłą narodową. Jeżeli bowiem do ocenienia choroby w pojedynczém indywiduum nie wystarcza miłość, zapał i poświęcenie, ale trzeba posiadać ścisłą umiejętność i znać nie tylko skład fizyczny człowieka, organiczny jego ustrój i rozumieć różne stadya choroby, niezliczone środki lecznicze w naturze, ale również ich kombinacye i działalność; to cóż dopiéro mówić o tym zawikłanym organizmie społeczeństwa, w którém nie tylko przeważną gra rolę siła fizyczna, ale niemniéj stanowczo na losy narodu oddziaływają wpływy moralne, jakoto: religia, tradycye, obyczaj, stopień oświaty i inne przymioty należące do porządku duchowego. Ta hygienia polityczna nie dla

każdego umysłu jest przystępną i stanowi pewną umiejętność, opartą na nauce historyi, prawodawstwa, statystyki, ekonomii politycznéj, sztuki wojskowéj itp. Czyliż te nauki dadzą się odrazu improwizować w ludziach, którzy się ku temu nigdy nie sposobili, i ani organizmu fizycznego narodu, ani téż moralnego ustroju spółeczeństwa nie znają? Skoro zaś ta umiejętność jest im obcą, jakiémże sumieniem porywają się do kierownictwa ojczystą nawą? Wodzą oni po obłędnych manowcach łatwowierną młodzież, a ostrożniejsi od uwiedzionych ratują się w chwili, kiedy oni toną. Jakże się téż nie gorszyć tą niezrównaną pychą, która się gwałtem narodowi narzuca, wbrew jego woli, jego przekonaniom i instynktom? Czyliż nie wstyd tym ludziom odgrywać roli natrętnych przywłaszczycieli i nędznych samozwańców? Snać to ich stanowisko w spółeczeństwie nie jest ani prawe, ani przyznane i z czystéj nie wypływa miłości Ojczyzny, skoro rodowe nazwiska albo pod anonymem ukrywać muszą, albo obce i fikcyjne miana przybierają. Nie są to więc *wyznawcy* ale raczéj *przezwańcy!*

Chcielibyśmy usprawiedliwić tę uzurpacyą nieuctwa nad rozumem, szału nad rozsądkiem, namiętności nad spokojną a użyzniającą miłością, szlachetnemi bogdaj zamiarami, i szczérą intencyą służenia krajowi; a skrzętnie szukając, przyznamy ją wszystkim uwiedzionym, ale jéj odmawiamy uwodzącym. Wiemy, iż najszlachetniejsze uczucie prowadzi zwykle młodzież na plac boju i męczeństwa; najczystsze ofiary poświęcają się całopaleniu za Ojczyznę; najwznioślejszy duch rozbudza w młodzieży popęd rycerski, pierś ich ustala odwagą, serce rozpala miłością a dłoń w oręż uzbraja. Ale właśnie dlatego, że czcimy ofiary, potępiamy ofiarników; tymi zaś byli w ostatnich czasach ci, którzy losy Ojczyzny na hazardowną kartę stawiwszy, głowami dzieci naszych przegraną swoją bankierowi zapłacili. Niechaj się ci dobremi zamiarami wobec kraju i potomności nie tłómaczą, gdyż do nich się stósuje owe wyrażenie doktorów kościoła, iż *takiemi intencyami piekło jest wybrukowane.*

Najlepszym dowodem nieuprawnionéj władzy i wstrętnego całemu narodowi rządu, jest terroryzm. Kto prawnie posiada i kogo naród na zwierzchnika powołał, ten się bez terroryzmu obchodzi; wszystko mu służy i wszyscy mu pomagają, a cała ludność chętnie się układa w piedestał jego zwierzchnictwu. Władza taka posiadająca ogólne uznanie i ogólną miłość, opiera się spokojnie na ramieniu powszechnego

współczucia; rządy jéj są łatwe, bo każdy niemal przeczuwa jéj szlachetne zamiary, a przez nię widzi zapewnioną dla kraju pomyślność; stara się więc odgadywać wolę rządu, chętnie oddaje się mu w posłuszeństwo, a przynosi poświęcenie sił, życia, i majątku. Władza taka jeżeli używa represyi, to jedynie przeciwko małéj liczbie tych w kraju mieszkańców, którzy się zpod prawa ogólnego wyłamują. Ale i ta represya jakże jest łagodną i jak dalece osobistą wolność zabezpieczającą! Winny przekroczenia, broni się i usprawiedliwia przed wyznaczoną z narodu delegacyą sędziów; społeczeństwo staje jako jedna strona, drugą stroną jest oskarżony, a władza stoi na boku i niemal pragnie, aby szala sprawiedliwości przechyliła się na korzyść winnego, oczyściła go, powróciła społeczeństwu tak, iżby ta władza nie była w smutnym obowiązku karania. Sądy są jawne, sędziowie zaprzysięgli i w nauce prawa biegli, publiczność przypuszczona do słuchania oskarżeń, obrony i wyroku; oskarżony więc otoczony jest wszelką rękojmią, jaką mu daje prawo, bezstronność sędziów i opinia publiczna. — Teraz przeciwstawmy temu porządkowi wszelką uzurpacyą. Ta z natury swojéj nieprawna, przez naród nieuznana a nawet temu narodowi wstrętna, musi być podejrzliwą, nieufną, zazdrosną a w środkach rządów swoich niesprawiedliwą, zawistną i mściwą. Przywłaszczyciel niepewny posiadania, ściska w dłoni przedmiot nielegalnie nabyty. W ciągłéj obawie o cenny łup, do którego nie czuje się być uprawnionym, widzi niemal w każdéj okoliczności i za każdym krokiem zmorę prawego posiadacza, a słyszeć mu się zdaje każdéj chwili, ów straszny zarzut: *oddaj, bo to nie twoje!..* Ztrwożony przeto wewnętrznie, więcéj jak zewnętrzném niebezpieczeństwem zagrożony, najprzód usprawiedliwia posiadanie kłamstwem a późniéj otacza go siłą, broni przemocą. Lecz to mu nie wystarcza: on się ciągle trwoży: i dla tego nie ufa nawet przyjaciołom, nienawidzi przeciwników, podejrzywa wszystkich. Pierwéj się mści, niżeli kto na zemstę zasłużył; pierwéj karze, niżeli kto zawinił, a niepewny zwycięztwa woli zniszczyć zaród siły, jak się z nią mierzyć. Wyroki jego nie są ważone na szali sprawiedliwości, ale na jednéj stronie stoi ofiara a na drugiéj podejrzliwa zemsta, przezwana szyderczo w tym wieku „*wyższym względem*“ (raison d'etat). Sądy nie są sprawowane na zasadzie ustaw powszechnych przez ludzi bezstronnych i sumiennych, ale wydane są w cieniu nocy, w pieczarach lub izbach tajemnych, bo taka sprawiedliwość boi się dnia, odrzuca świadków i szuka ofiar. Kryje się

ona nie tylko z wyrokiem zemsty ale i z wykonaniem kary; dlatego posługuje się zfanatyzmowanymi oprawcami, których dłoń nie w błyszczący miecz, ale w morderczy sztylet jest uzbrojoną.

Władza taka słaba a sroga, ztrwożona a zemstą pałająca, nietylko zdradziecką siłą pragnie panować nad ciałem, ale radaby przerażać ducha, i skazać na powszechne więzienie rozum ogólny narodu, wolność przekonań, słowem — opinią publiczną. Wszakże sam Bóg szanuje naszą wolność, kościół nie sądzi wewnętrznych myśli, kiedy teroryzm rewolucyjny tę jedyną własność człowieka krępuje i pęta. Ztąd to wyroki na podejrzanych, ztąd to przeczucie potępiające z góry ludzi sumiennych i rozumnych; ztąd owa nienawiść do tych, którzy poddawszy nawet ciało, dla ducha przynajmniéj swego o niepodległość się upominają.

Władzą taką srogą, podejrzliwą i prześladowczą jest każda władza rewolucyjna, to jest ta, która burzy a nie stawia; która niszczy a nie buduje. — I dla tego pod tém wyrażeniem nie tylko pojmujemy owo wzburzenie, które lekkomyślność lub bezwiedny zapał z wnątrza narodu wywołuje, ale również obejmujemy pod tą ogólną nazwą i owe zamachy stanu, w których widzimy nadużycie siły, i dostrzegamy popędy niepomiarkowanéj zemsty i nadużycia władzy. Terroryzm taki wreszcie leży w naturze każdego nieprawego przywłaszczenia!

Rewolucya więc zkądkolwiek ona płynie czy z góry czy z dołu, a tém samém czyli przychodzi jako potęga i kruszy gwałtownie porządek społeczny, ustrój organiczny i nabytek wiekowy narodu, czyli znowu uknowana przez zazdrość niższéj warstwy, podmywa zdradziecko brzegi ojczystego gruntu i urodzajne zagony brudnym zalewa namułem, zawsze jest plagą, zawsze cofa stopniowe rozwijanie się i postęp regularny a wprowadza społeczeństwo w stan chorobliwy, gorączkowy a nawet śmiertelny. Wszelką więc rewolucyą czyli wszelką gwałtowność, sprowadzającą anormalne wstrząśnienie i przewrot społeczeństwa za bezwzględne nieszczęście uważać musimy. W tém zaś określeniu żadnéj modyfikacyi nie pojmujemy, żadnych powodów uniewinniających nie przypuszczamy, ale rewolucyą jako środek zły, choćby do dobrych miał być użytym celów, bezwzględnie potępiamy.

Trzy są środki, których siła fizyczna ku gwałtowniejszym przemianom używa, a temi są: *rewolucya* czyli *przewrot*, który się odbywa przez gwałtowne pomieszanie wszystkich funkcyj społecznych, wzburzenie wewnętrznego porządku, złamanie szczebli hierarchicznych, zaprzeczenie

prawnéj władzy, słowem — wprowadzenia towarzystwa w stan chaotyczny; *powstanie*, które jest zbiorowém i powszechném stawieniem oporu sile obcéj, a témsamém ma raczéj na celu wyswobodzenie spółeczeństwa aniżeli jego przewrot, i organizacyą a nie rozkład towarzyskiego porządku; i *wojna*, która jest zapaśnictwem państw organicznych i ma na celu korzyść zdobyczy, albo przewagi. Pomieszanie tych trzech różnych spraw, staje się powodem wielu zboczeń, jakich dopuszczają się ludy w użyciu siły fizycznéj.

Najłatwiéj jest zrobić *rewolucyą:* do tego téż środka jako wszystkim najprzystępniejszego, udają się zwykle tuzinkowi wichrzyciele, zwani tak dobrze w języku naszym *hałaburdy*. Do zamięszania społecznego porządku nie potrzeba mieć ani rozumu, ani nauki, ani stanowiska w społeczeństwie, ani stósunków, a tém mniéj zasługi; dość jest posiadać trochę zwierzęcéj odwagi, ducha intrygi i matactwa; dość jest zamącić w kotle namiętności, rozbudzić zazdrość, rozdmuchać zawiść, rozniecić łakomstwo. Wystarcza umieć podnieść w ludziach pychę i próżność, a potém okrzyknąć powszechne hasło buntu, aby się rewolucya udała, i aby się zapalił ten ogień fajerwerkowy. Na rewolucyą każda chwila zdaje się być sposobną; nie odnosi się ona do żadnéj wczesności czyli nie oblicza się ani z czasem, ani z siłami. Jéj prawidłem jest: „przewrócić co było, a to co być ma, samo się postawi"; i w rzeczy saméj rewolucya rośnie jak bryła śniegowa lecąca z góry do przepaści; powiększa się ona za każdym krokiem, leci przyśpieszonym pędem, aż w końcu na nizinach upada bałwanem. Ale widzimy, iż wkrótce rewolucya wstydzi się swojego nazwiska, (jakby przeczuciem jakiémś, że ona jest plagą), i czémprędzéj chciałaby się przezwać powstaniem a dojść do zaszczytu nazwania się wojną. Wypiéra się ona siebie saméj, a radaby się wyprzeć i rodziców swoich, bo ci jéj zwykle nie przynoszą zaszczytu. Ten jéj wstyd pochwalamy, jednak rzadko jéj się udaje wmówić w siebie przymioty, których się nie posiada. Zdradzając się najprzód kłamstwem, a późniéj teroryzmem środków, brakiem natchnień szlachetnych, prostactwem kształtów, rubasznością słowa, fałszem przechwałek, chciwością zysków, obnaża się mimowolnie z ułudnéj szaty poświęcenia i staje przed światem jako prosta burza i zawierucha, jako nawałnica niosąca krajowi zniszczenie, ubóstwo, rozpacz i przewidziany przez wszyskich upadek.

Od jakiegoś wszakże czasu a szczególniéj może od czasów rewolucyi

francuskiéj oswoili się ludzie z tém wyrażeniem **„rewolucya“** i przywięzują do niego pewną chwałę i zasługę, a przynajmniéj zdaje się im, że ona jest początkiem czyli ową Alfą wyswobodzenia. Zdaje się niektórym, iż rewolucya jest zawsze koniecznym początkiem i warunkiem powstania. Zapewne, iż ona bywa hasłem i pierwszym wyzwem, ale nie jest warunkiem ani niezbędną podstawą powstania. Do zrobienia rewolucyi dość jest burzyć, mącić i rozdzielać; do zrobienia powstania potrzeba stawiać, łączyć i jednoczyć.

Rewolucya musi z natury swojéj destrukcyjnéj łamać wszystko, co w narodzie wyrosło zasługą, cnotą lub dostojeństwem; powstanie przeciwnie, zużytecznia ten tramowy budulec i ustawia go na podwaliny. Rewolucya wszystkich trwoży, powstanie, jeśli jest w przeczuciu chwili, wszystkich zapala. W końcu gdy się rewolucya nie uda, zostawia po sobie społeczny zamęt i gruzy rozburzonego gmachu, a sama obciążona wstydem i hańbą, kryć się przed niechęcią własnego społeczeństwa musi; kiedy przeciwnie zwyciężone powstanie, unosi z sobą przynajmniéj pamięć nieskażonego honoru narodu. W powstaniu téż, nie ma stronnictwa ani odrębnych przywłaszczycieli Ojczyzny, w rewolucyi część burzliwa tę wspólną własność dla siebie zagarnia, odsądzając od niéj resztę spokojnego społeczeństwa.

Dużo trudniéj w narodzie wywołać **powstanie**; albowiem do tego rodzaju sprawy nietylko potrzeba moralnego i fizycznego przygotowania, ale nadto potrzeba korzystać ze sposobnéj pory, którą niemal Opatrzność sama wskazuje a zbieg ogólnych wypadków przynosi. Lecz jeśli rewolucya nigdy się z czasem nie oblicza ani do okoliczności nie odnosi, lecz każda pora zdaje się jéj być zarówno sposobną do dokonania dzieła przewrotu: to i powstanie często się téż myli w swéj rachubie, a lada brzask nadziei budzi go do życia, i nieraz wstaje **przed słońcem**. Ztąd widzimy, iż powstanie chybione lub zawiedzione, chce się znowu ratować siłami rewolucyjnemi, i od niéj środków sobie pożycza, a wtenczas-to powstanie wyradzając się z pierwotnego charakteru swojego, i tracąc właściwe sobie piętno, szuka w przewrocie ogólnym społeczeństwa sztucznego bodźca, zawiéra przymierze z powszechną zawieruchą, i już od téj chwili gaśnie w niém czysty płomień poświęceń, ustępując miejsca namiętnemu ogniowi rewolucyi, który zwykle wszelkie dobro pochłania i niszczy *). Ztądto granica pomiędzy powstaniem a rewo-

*) Tak było w powstaniu z r. 1831 w dniach sierpniowych.

lucyą tak jest wązką, iż się ją często, mimowolnie nawet przekracza, a przekroczywszy, całą sprawę gubi, i naród o nieszczęście przyprawia.

Wojny opisywać tu nie mamy potrzeby; każdy wié, iż to jest mocowanie się w formach regularnych państw udzielnych między sobą. Powody tych wojen mogą być mniéj lub więcéj szlachetne, a to odnośnie do celów, jakie sobie które mocarstwo w wojnie zamierzyło. Cele moralne są same z siebie wznioślejszemi od zamiarów zdobyczy i zysków materyalnych; ale iż w tym wieku stanęły one drugorzędnie i zniżyły najwyższą ofiarę krwi do łakomych celów, przeto nie wdając się w bliższy rozbiór téj kwestyi, ubolewać tylko musimy, że nam wieki tak nieszczęśliwy przyniosły układ w ludzkości, iż zgoda państw jedynie tylko obawą wojny utrzymać się może.

Co do nas, pragnących utrzymać i ocalić od zagłady jedyny nasz skarb narodowości, nie możemy ani stręczyć powstania, a tém mniéj usprawiedliwiać rewolucyi, lecz widzimy w chwilach obecnych tylko jeden ratunek: Trzymać się oburącz wiary i ojczystych tradycyj, pracować nad wzbogaceniem moralném i materyalném społeczeństwa; udoskonalać wszystkie gałęzie narodowego gospodarstwa i przemysłu, harmonizować roztrąconą jedność warstw społecznych, wyrzec się wszelkiego ducha zawiści i podejrzliwości; przytępić owe kolce i rogi, któremi się ludzie wzajemnie kolą i bodą; potępić przez powszechną opinią, ducha drażliwości i cząstkowego buntu; wyrzec się systematycznego przeczenia i opozycyi, szanując prawo, prawdę i dobro, zkądkolwiek przychodzi, i to jest gdyby nam je nawet nieprzyjazna podawała ręka; korzystać z miarą czyli umiarkowaniem ze swobód nam udzielonych i te bez straty czasu na korzyść kraju obracać i zużyteczniać; pracować nie porywczo ale wytrwale, nie na obcym ale na własnym warsztacie; nie szukać nadzwyczajnych zysków, ale zbiérać skrzętnie drobne korzyści i takowe przemysłem pomnażać, a szczególniéj téż wyrobić sobie wewnątrz ducha uczciwości, prawdy i téj cywilnéj odwagi, która się nie umizga fałszowi ani żebrze chwilowych pochwał, ale jasno i szczérze wszędzie prawdę niesie, przy niéj obstaje i w niéj a dla niéj żyje. Wtenczasto urośniemy w poważną siłę i staniemy się zgodnemi dziećmi jednéj a wspólnéj nam Matki Ojczyzny, przestając łono jéj szarpać przez wewnętrzne rozterki i przez zazdrosne przywłaszczenie sobie stronniczych praw do jéj miłości, a razem do zarządu jéj ogólném mianem. *W. W.*

O banku rolniczym.

Gdy się o jaką instytucyą wszyscy w kraju zarówno upominają, i takową zgodnie wywołują, to pokazuje się, iż jest potrzebną a tém samém zaprowadzić ją należy. Taką instytucyą jest w kraju naszym bank rolniczy, który od kilku lat stoi na porządku dziennym, upragniony przez wszystkich rolników a nawet i przemysłowców.

Oba towarzystwa rolnicze nie przestają domagać się u swoich komitetów wypracowania projektu banku rolniczego a razem dania inicyatywy w utworzeniu téj ważnej dla kraju instytucyi. O ile słyszeliśmy, komitet lwowski już przygotował projekt statutów, komitet zaś krakowski na zgromadzeniu tegoroczném w dniu 6tym Marca odbytém, miał sobie poleconém porozumieć się pod tym względem z komitetem lwowskim i wspólnie z nim tę sprawę popierać lub téż inny projekt przygotować.

Przed kilku laty podnosiliśmy tę ważną kwestyą tak na zgromadzeniu rolniczém jak i w komitecie, oraz w piśmie „Ognisko" wówczas wychodzącém; ale wkrótce potém zaszły wypadki, które wszelką pracę utylitarną przerwały i myśl ku innym sprawom zwróciły. Dzisiaj budzi się znowu w ludziach instynkt zachowawczy, tém bardziéj, iż rozpatrzywszy się w ogólnéj nędzy, łatwo przewiduje każdy blizką swoją ruinę. Odzywają się więc wszechstronne głosy za utworzeniem banku rolniczego, któryby nastręczając ziemianom łatwość uzyskania kapitału obrotowego, uchronił ich od strat, jakie ponoszą z bezcennéj sprzedaży swych produktów, lub téż od lichwy, którą opłacać są zmuszeni i która nieraz staje się początkiem ich majątkowego upadku.

Rolnictwo nietylko ma zupełne prawo dopominania się o taką instytucyą ze względu na pożytek ogólny jaki toż społeczeństwu przynosi zaspokajając pierwsze jego potrzeby życia, lecz nadto naród cały w tym zakładzie powinien widzieć wspólny warunek bytu; jeżeli bowiem nędza obywateli polskich zmusi ich wkrótce do pozbycia się ziemi, to łakomstwo cudzoziemców zwietrzywszy korzyści w jéj nabyciu, rzuci nam na ponętę obce kapitały, a zabierze ziemię pytając się Polaków, tak jak to słyszeliśmy w Księstwie Poznańskiém: „Co tu jeszcze mają za prawo przesiadywać Polacy?"

Wiemy z pewnością, iż w Berlinie i w Belgii tworzą się stowa-

rzyszenia kapitalistów ku wykupywaniu ziemi polskiéj, a bogactwo tych stowarzyszeń zastraszać nas powinno swoim ogromem, wobec zwiększającéj się nędzy naszéj. Obdłużony lub zrujnowany posiadacz ziemi z trudnością zdoła się oprzeć pokusie, gdy gotowiznę w śrebrze i złocie od tak dawna niewidzianą, na stole zobaczy. Staną mu przed oczami brodaci wierzyciele, staną bliskie a przewidziane procesa, a za nimi mara sekwestracyi i licytacyi; obejrzy się więc łzawo na zagon ojczysty i na ów dom, który zamieszkiwali przodkowie i w którym się rodził; odbędzie sam z sobą walkę, ale w końcu.. bogdajbym nie zgadł, że go pokusa zwycięży i dobra swoje sprzeda. Oh, smutne to są owe ostatnie chwile rozstania się z ojcowizną, pożegnania się na zawsze z ziemią, z cmentarzem przodków i z własną kolebką. W miejsce obszarów, które owoc pracy pozłacał łanami pszenicy, wyzuty z dóbr posiadacz, zabiera z sobą bryłę złota i z nią ujeżdża do miasta. Jeżeli za nią nakupił papierów i na nich siedzi bezczynnie, to straconym jest dla ogólnéj w kraju pracy i produkcyi. Czasem jednak nawykły do ruchu, postanowi „*chodzić dzierżawami*“ krząta się za niemi i biega, dopytuje, a w końcu znalazł, targu dobija i nibyto powraca znowu w szereg ludzi produkcyjnych. Byłoby to i dobrze lub mniéj źle, gdyby do dzierżawy wniósł pracę, kapitał i przemysł, ale wnosi on zwykle nawyki dziedzica, od których odstać mu trudno; przeto żyje według dawnego trybu jak za dobrych czasów, i zamiast składać przyszły czynsz na tę dzierżawę, to mu wychodzą intraty na utrzymanie domu i wychowanie dzieci. Bryłka więc pruskiego złota topi się pod skwarem zbytkowego obyczaju, aż w końcu po wyczerpaniu funduszów grzęźnie dawny posiadacz w błocie nowych długów i majątkowego kłopotu. Wtenczas to ogląda się na wypadki ogólne, staje się malkontentem i zapisuje się w szeregi reformatów społeczeństwa. Oczywiście instynkt zachowawczy jest mu już niepotrzebnym a nawet wstrętnym, bo nie ma co zachować, a ma wiele do pragnienia. Tłómaczymy poniekąd takie usposobienie, ale tém bardziéj czujemy potrzebę stręczenia środków, któreby od téj ostateczności większą własność uchroniły.

Pomiędzy temi środkami jest bez zaprzeczenia bank rolniczy, o którym tylu mówiło i pisało a i dotąd tylu mówi i pisze. Chodzi głównie o zebranie kapitałów, których w tym szczególniéj czasie w kraju naszym nie ma, albo téż są w takich rękach, które się ani rolnictwem ani krajem ani dobrem narodu nie zajmują. Z drugiéj strony niewyro-

biona u nas dotąd rzetelność przemysłowa, sprawiedliwie poniekąd odstrasza kapitalistów. Dwa są więc główne pytania: „kto ma dać kapitał zakładowy i komu pożyczać można?“

Dwa te pytania, na których zawsze wszelki projekt banku rolniczego utyka, z wielką jasnością i trafnym na kraj nasz poglądem rozwiązał nasz Krakowianin, dawny bankier a dzisiaj współpracownik przy „Gazecie Lwowskiéj“ p Leon Bochenek. W trzech numerach powołanego pisma, które może uszły baczności krajowych czytelników a mianowicie pod dniem 16 Sierpnia 1864 numer 182, i w następnych numerach 183 i 184, rozwinął p. Bochenek zarys banku rolniczego na podstawach, które nie tylko mają za sobą loikę teoryi, ale i praktyczność rzadko się kiedy spotykającą z teoretycznemi pomysłami. Nie chcielibyśmy prostym przedrukiem powołanych artykułów zapełniać pisma naszego, jednak zajmując się krytyką projektu, musimy przytoczyć niektóre z nich wyciągi, a po całość myśli odsyłamy czytelników do „Gazety Lwowskiéj.“ W numerze 182 czytamy to zdrowe ocenienie rolnictwa krajowego w obecnéj epoce.

„Od chwili zniesienia pańszczyzny rolnictwo stało się zawodem przemysłowym, który jak każdy inny zawód podobny, bez kapitału obrotowego obejść się nie może. Kapitał zaś ten obrotowy nie tkwi ani w budynkach gospodarczych, nieruchomą wartość stanowiących, ani nawet w inwentarzu żywym lub nieżywym do uprawy roli przeznaczonym, lecz stanowi on ów zapas gotowizny, który rolnik w każdym czasie posiadać musi dla rozpłaty najętego robotnika, dla opłacenia zasług czeladzi i uiszczania się z ciężarów i podatków rządowych i innych podobnych wydatków, które codziennie w rolnictwie wydarzać się muszą. Chwilowy zaś brak téj gotowizny rolnik zastąpić musi bądź pożyczką, którą przy szczupłości kapitałów tylko za ogromną lichwą zaciągnąć może, bądź przedażą produktów na pniu stojących lub wyrobów jeszcze nie gotowych, co niemal na większą jeszcze szkodę narazić go musi. W wielu bardzo przypadkach straty, które rolnik z tego powodu ponosi, dokładnie obliczone, więcej wyniosą, niż podatki, które opłaca. Niedostatkowi zaś takowego kapitału obrotowego nie zaradziłyby nawet ani owe domy komisowe obywatelskie, o których założeniu dawniéj myślano, bo i domy takowe tylko na produkta w posiadanie im oddane zaliczki udzielaćby mogły, w tém zaś filia zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu dziś je już wyręcza. Rzecz idzie o to,

ażeby utworzyć instytucyę finansową, któraby rolnikom a na teraz przynajmniéj dziedzicom większych posiadłości gruntowych w sposób ściśle określony, od straty ją ochraniający, pożyczek w odpowiedniéj wysokości za kredytem osobistym udzielać mogła, tak jak pożyczki takowe udziela kupcom i przemysłowcom, bank narodowy austryacki i austryackie towarzystwo eskontowe (niederoesterreichische Escompte-Gesellschaft), w Wiedniu, przed kilkunastu laty założone i z wielką dla handlu i przemysłu korzyścią, najświetniéj prosperujące. Handel i przemysł mają w Galicyi dwie filie banku narodowego we Lwowie i Krakowie. Każdy zaś z obrotem pieniężnym obznajomiony przyznać musi, iż gdyby zakłady te dla jakiejkolwiek przyczyny operacye swe zaprzestać miały, handel i przemysł galicyjski poniósłby ztąd klęskę, niełatwo wynagrodzić się dającą. Jeżeli więc instytucye bankowe konieczną są dla handlu i przemysłu podporą, o ileż są niezbędniejsze dla rolnictwa, które główne źródło bogactwa krajowego stanowi, a dziś jak wyżéj rzekliśmy, stało się zawodem przemysłowym, pod względem kapitału obrotowego w tych samych warunkach bytu jak każde inne przedsiębiorstwo przemysłowe zostającém.

„Nie przeczymy wcale, iż założenie instytucyi bankowéj podporą rolnictwa być mogącéj, na liczne nader natrafi trudności. Idzie najprzód o zebranie pierwszego kapitału zakładowego, co rzeczą jest nie łatwą w kraju, któremu właśnie niedostatek kapitału najbardziéj dokucza. A jednak pierwszy zakład, podstawa instytucyi z kraju samego wyjść musi, bo dopiero po ustaleniu téj podstawy liczyć będzie można na wsparcie napływowych obcych kapitałów. Nie mniejszą trudność stanowić będzie określenie warunków, pod któremi pożyczki udzielane być mogą tak, ażeby instytucya założyć się mająca nie była narażona na straty ani nawet na nieregularny wpływ swych wierzytelności, bo od tego cały byt jéj zależeć będzie. Wielkie to zaiste trudności, wszakże one pokonać się dadzą przy dokładnéj znajomości na teraz obrotów pieniężnych, usilności i dobréj chęci wyświadczenia krajowi nader ważnéj przysługi. Co do pierwszego, to jest co do zebrania kapitału przyszłego banku rolniczego, zdaje nam się, iż gdyby myśl przez nas podana znalazła poparcie w gronie większych właścicieli ziemskich, których potrzebę i dobro właśnie mamy na celu, nie byłoby rzeczą niemożliwą zebrania w kraju miliona złotych w walucie austryackiéj, któreby pierwszy kapitał zakładowy stanowić mogły. Galicya liczy przeszło 7.000

większych posiadłości ziemskich w księgi gruntowe wpisanych; gdyby właściciele każdéj z osobna realności udział wzięli w założyć się mającym banku w wysokości tylko po 150 złr., to już kapitał zakładowy byłby niejako zebrany. Sto pięćdziesiąt zaś złotych austryackich jest sumą tak mało znaczącą, iż nawet niezamożny właściciel większéj posiadłości ziemskiéj znaleść je może dla ulokowania jako akcyonaryusz w przedsiębiorstwie, które oględnie prowadzone, akcyonaryuszom sowite przyniesie procenta i zarazem stać się może dobrodziejstwem dla kraju całego. Właśnie to najmniéj zamożni z właścicieli ziemskich, najcięższą lichwę od kapitału obrotowego, którego w dostatecznéj ilości nie posiadają, opłacać muszą i najcięższe ztąd straty ponoszą. Straty te zmniejszyłyby się dla nich, a z czasem zupełnieby znikły, bo bank rolniczy pod słusznemi warunkami niósłby im pomoc pieniężną, o ileby to bez narażenia się na stratę uczynić mógł. Tak więc ten szkopuł, o który się u nas wszystko rozbija (brak pieniędzy), możeby się usunąć dał, byleśmy połączonemi siłami sami sobie pomódz się starali, bo inaczéj nikt nam dopomódz nie może“.

Pierwszą trudność znalezienia kapitałów, zwycięża autor projektu środkiem dla nikogo nie uciążliwym, a dla wszystkich mniejszych nawet właścicieli dóbr przystępnym, wypuszczając 7.000 akcyj po 150 Złr. każda. Otóż gdy Galicya liczy przeszło 7.000 posiadaczy większych, przeto rozdziela pomiędzy nich w obieg puszczone akcye i z tego tworzy kapitał jednego miliona reńskich, który na pierwszy początek wystarcza. Zapewne iż nie każdy z właścicieli ziemskich zechce lub będzie mógł wziąść akcyą na 150 Złr., ale téż znajdą się bogatsi, którzy wziąść mogą dziesięć a nawet sto akcyj; albowiem w tym zakładzie znajdą rzeczywiste i materyalne dla siebie korzyści i bezpieczną lokacyą funduszów. Znowu tutaj musimy ustąpić słowa autorowi artykułu, który najlepiej rzecz przez siebie pojętą obronić potrafi.

„Z milionem gotówki w ręku już bank czynności swe, acz z razu do mniejszych rozmiarów ograniczone, rozpocząćby mógł. Spodziewać się zaś można, iż pierwiastkowy ten kapitał wkrótce znacznieby się powiększył. Bo najprzód emisya akcyj bankowych nie ograniczyłaby się do sumy jednego miliona złotych austryackich, którą jedynie jako pierwiastkowy kapitał niezbędnie potrzebny do zawiązania instytucyi i wprowadzenia jéj w życie uważać można. Przy znacznych korzyściach, jakie zakład podobny dla akcyonaryuszów nastręcza, znajdą się kapitaliści

obcy a nawet i zagraniczni, którzy rozbiorą daleko większą liczbę akcyj, niżeli ta, która przez Galicyę samą w jéj własnym interesie, z samego początku rozebrana byćby musiała. Widzimy codziennie kapitały francuzkie i angielskie użyte do zakładania instytucyj kredytowych we Włoszech i Szwajcaryi. — Francuzi właśnie teraz przystąpili z kapitałem 12 milionów franków do założenia banku kredytowego w Zurychu, Anglicy budują u nas drogę żelazną lwowsko-Czerniowiecką, założyli już dwa banki międzynarodowe w Wiedniu. Wszystko zaś zapowiada, że w najbliższym już czasie zwiększy się ruch ten kapitałów zagranicznych ku rozległym dziedzinom monarchii austryackiéj, tak bogatym w pierwiastkowe dary przyrody, do których wydobycia tylko pomocy kapitału potrzeba. Wkrótce bowiem ustanie przeszkoda, która dotąd napływ obcych kapitałów tamowała. Przeszkodą tą była chwiejna wartość waluty austryackiéj, obok któréj żaden zakład finansowy w oczach kapitalistów zagranicznych nie mógł mieć pewnéj wyrachowanéj podstawy. To się zaś już kończy i wkrótce skończy się zupełnie, bo już w roku 1866 a zatem za niespełna dwa lata noty banku narodowego austryackiego nie będą miały przywileju przymusowego obiegu, a bank ten noty jak dotąd wydawać będzie, i w każdéj chwili na srebro wymieniać je będzie obowiązany. Wątpić zatem nie można, że kapitaliści zagraniczni chętnie przystąpią do zakładu finansowego w Galicyi, nastręczającego im sposobność do nader korzystnego użycia swych kapitałów. Wszakże Galicya cała nieprzerwaną siecią dróg żelaznych z zachodem złączona, blizką jest dziś Londynu i Paryża, głównych tych punktów aglomeracyi kapitałów europejskich. Hipoteki w niéj uregulowane, własność ziemi ostatecznie ustalona, wymiar sprawiedliwości zabezpieczony; nie masz zatem żadnéj przeszkody, któraby elokacyą obcych kapitałów w Galicyi tamować mogła. Wszystko więc zapowiada, iż akcye przyszłego banku lub zakładu kredytowego dla rolnictwa w znacznéj wysokości przez obcych a nawet i zagranicznych kapitalistów rozebraneby zostały Prócz tego zakład nasz zwiększyć będzie mógł siły swoje pieniężne przyjmowaniem kapitałów na rachunek bieżący, jak to czynią wszystkie zakłady podobnego rodzaju; zwiększy je nadto kredytem, który w innych zakładach finansowych pozyska i z czasem kredyt ten swój ustali. Na téj to głównie drodze postępuje austryackie towarzystwo eskontowe, o którém w wczorajszym artykule wspomnieliśmy; stara się ono o nabycie kapitałów na niższy procent, wypożycza je za wyższym pro-

centem, w ten zaś sposób postępując oględnie i ze znajomością stosunków i ludzi, według ostatnich swych sprawozdań obraca siedmkroć większą sumą, niż własny jego kapitał wynosi i tak dobrze na tém wychodzi, iż akcyonaryuszom swym blizko 10-procentowe dywidendy wypłacać może. To co dla handlu i przemysłu w Wiedniu się robi, to samo w Galicyi dla rolnictwa zrobić można, które, raz jeszcze powtarzamy, dziś nie jest niczém, jeno pewnym rodzajem przemysłowego przedsiębiorstwa, to jeszcze mającego za sobą, iż jeżeli zyski z niego nader są ograniczone, to znów i ryzyko w niém jest mniejsze, zwłaszcza dziś kiedy od ognia, od gradobicia a nawet od pomoru bydła zabezpieczyć się można. W zastósowaniu i w praktyce uwzględnić zaiste potrzeba różnicę położenia rolnika, surowe ziemiopłody z ziemi wydobywającego, od położenia właściciela zakładu fabrycznego, który gotowe już materyały przerabia, kapitałowi zatém swemu częstszy obrót nadać może. Ale i ta różnica równoważy się tém, iż fabrykant wyroby swoje zwykle tylko na kredyt z krótszym lub dłuższym terminem pozbywać może, kiedy rolnik to co z ziemi wydobył lub na gruncie przerobił, tylko za gotową przedaje zapłatę. Łatwiejszém zaś jest ocenienie wypłacalności rolnika niż przemysłowca lub kupca, bo już sam wykaz tabularny posiadanéj realności pewną jest pod tym względem wskazówką".

Jak widzimy, projekt p. Leona Bochenka usuwałby niejako trudności w zebraniu potrzebnego kapitału na bank rolniczy. Posiadacze większych własności a może i wielu bogatszych przemysłowców i kapitalistów zdobyłoby się na poświęcenie w rozkupieniu akcyj banku rolniczego tém bardziéj, iżby w téj ofierze własną korzyść i rachunek znaleźli. Owszem przyjąćby powinni za godło banku to wiekowe zdanie łączące społeczeństwo węzłem solidarności: **„Hodie mihi, cras tibi"**. Mocno więc przekonani jesteśmy, iż kraj dostarczy funduszów, które nawet milion zaprojektowany przewyższą; ale ważniejsze nad to przychodzi pytanie: komu dać i jak dać, iżby bank na straty narażonym nie był, a kapitaliści z zupełnym pokojem i zabezpieczeniem temu bankowi fundusze swoje powierzać mogli. Naród nasz, jak słusznie mówi p. Bochenek, przyzwyczajony do traktowania interesów z lichwiarzami, nie bardzo ich oszczędzał i słownym się też względem nich nie pokazywał. Za przesadne korzyści, które oni wydzierali, odpłacano im ustawicznym zawodem. Miała to być względem nich zemsta, ale dla nas stała się ona podwójną zgubą tak materyalną jak i moralną. Rosły procenta od procentu,

kapitał się zwiększał, lichwiarz bądź co bądź fundusze swoje wraz z ogromnym przyrostem odbierał, a dłużnik brnąc coraz głębiéj, kończył zwykle na majątkowéj ruinie. Ze strony moralnéj szkody były jeszcze większe, albowiem wprawiliśmy się do lekceważenia zaciągniętych obowiązków, rozwolniliśmy sumienie, nie wyrobiliśmy w sobie ducha owéj rzetelności, którą słusznie *uczciwością przemysłową* zwać należy; a w końcu — tak zruinowaliśmy nasz kredyt, iż sobie już wzajemnie nie ufamy i kryjemy się z kapitałami, aby się o zamożności naszéj przypadkiem jaki sąsiad nie dowiedział i w konkury po pożyczkę nie zajeżdżał. Potrzeba więc instytucyi publicznéj, solidarnéj a stojącéj zarówno pod rękojmią praw jak i pod dozorem opinii publicznéj, ażeby dopomagając nam z jednéj strony w użyczeniu kapitału obrotowego, cisnęła nas z drugiéj presyą niesłychanéj surowości i chłostą egzekucyi, a tém samém utworzyła obyczaj przemysłowy i wprawiła nas do punktualnego dotrzymania naszych zobowiązań. Na pytanie: „komu dać pożyczkę i w jaki sposób jéj udzielać?“ stręczy p. Leon Bochenek pewne środki, które tu dosłownie przytaczamy:

„Wytknąwszy główny cel i zadanie zakładu, potrzeba nam wskazać choć w ogólnym tylko zarysie postępowanie, jakiegoby zdaniem naszém w operacyach swych trzymać się powinien. Tak jak banki i zakłady handlowe udzielają kupcom i przemysłowcom pożyczki na osobisty kredyt (weksle ich eskontując), tak znów zakład projektowany udzielałby pożyczek takowych rolnikom i gospodarzom wiejskim, eskontując weksle ich, chociażby takowe z dłuższym nawet terminem jak zwykle weksle handlowe wystawione być miały. W pożyczkach na osobisty kredyt wypłacalność dłużnika i możność punktualnego uiszczenia się na terminie z zaciągnionego długu, głównie na uwadze miane być muszą. „*Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi*,“ według tego przysłowia postępując, banki i zakłady handlowe ustanawiają komitety cenzorów, które według sumiennego swego przekonania acz bez żadnéj osobistéj odpowiedzialności orzekają, czyli osoby których podpisy na wekslu jakim do eskontowania proponowanym zamieszczone, dostateczną pod względem powyższych warunków przedstawiają rękojmię. Postępowanie takowe i w zakładzie kredytowym dla rolnictwa przyjęte, lecz w odmienny sposób zastósowane byćby musiało. Operacye pieniężne, w handlu i przemyśle fabrycznym koncentrują się zwykle w kilku miastach znaczniejszych, w których łatwo o osoby funkcyę cenzorów pełnić mo-

gące. Inaczéj rzeczby się miała w zakładzie kredytowym dla rolnictwa, którego operacye na wielką przestrzeń kraju rozgałęzione byćby musiały. Żaden komitet cenzorów we Lwowie lub Krakowie ustanowiony, nie zdołałby ocenić wypłacalności i położenia majątkowego rolników w odległych obwodach zamieszkałych. Tu potrzeba, ażeby rolnicy ci sami o sobie wzajemnie orzekli, sami się wzajemnie kontrolowali i wspólnie w pewném kółku do pewnéj ściśle oznaczonéj wysokości, wzajemnie za siebie ręczyli. Zdaniem naszém w zakładzie kredytowym dla rolnictwa, właściwémby było zaprowadzenie kółek podobnych do stowarzyszeń właścicieli kredytu (Credit-Inhaber) w niższo-austryackiém towarzystwie eskontowém, a to w ten sposób, ażeby rolnicy każdego z osobna powiatu, którzyby chcieli uzyskać otwarcie kredytu do pewnéj z góry oznaczonéj wysokości, złączyli się w kółka złożone z kilku lub kilkunastu osób, bliżéj się między sobą pod względem majątkowym znających. Ten, coby kredyt otwarty w zakładzie mieć pragnął, złożyćby musiał jako kaucyą pewną cząstkę sumy, któraby mu na kredyt otwarty przyznaną została, od któréj to kaucyi zakład procentaby właściwe opłacał. Kaucya ta i procent od niéj byłyby najprzód bezpośrednią własnością składającego, następnie zaś należałaby do kółka, do któregoby tenże przystąpił, i stanowiłaby fundusz rezerwowy, z któregoby zakład zastąpił w wypłacie weksle z kółka tego eskontowane, na terminie nie zapłacone dopóty, dopókiby należytość zakładu od opieszałego dłużnika na drodze prawa ściągnięta nie była. Aż do wysokości téj kaucyi każdy ręczyłby solidarnie za wypłacalność osób do jednego i tego samego kółka należących. Zdaje nam się, iż na téj drodze dałyby się zastąpić skutecznie komitety zwykłych cenzorów bankowych, bo kółka takich właścicieli kredytu, mogłyby żądać od każdego z osobna członka swego, ażeby się wykazał z funduszu, z którego weksel swój w terminie zapłacić zamierza. Zakład sam czuwałby zaś nad kółkami temi przez delegatów, w którychby osobiste zaufanie pokładać mógł".

Pozwalamy sobie dopełnić projektu p Leona Bochenka jedną jeszcze uwagą, któréj on nie dotknął. Trudność nie tylko leży w wyszukaniu kapitałów i w roztropném onych umieszczeniu, ale jest trzecia, która się przedstawia w braku uzdolnionych ludzi do prowadzenia takiego zakładu. Owa potrzeba organów kierujących zakładami publicznemi lub przemysłowemi coraz więcéj uczuwać się nam daje, tak, iż najlepsze

nieraz przedsiębiorstwo upada z powodu złéj administracyi. Na ten niedostatek specyalny ludzi, przynieślibyśmy lekarstwo, gdyby go społeczeństwo odważnie zażyć chciało.

Widzimy, iż posiadacze większéj własności a w ogólności szlachta sposobi zwykle synów swoich na encyklopedystów, lingwistów, niedouczonych prawników, słowem — na paradierów albo tuzinkowych polityków; tę zaś nieużyteczną naukę pozłacając cudzoziemskim polorem, wysyła ich za granicę i tam oni mają kończyć tak zwaną edukacyą. Co oni tam robią? zapytajmy się z tą szczérością, która młodych obrazić nie powinna, ale w któréj znaleść powinni miarę naszéj życzliwości. Oto jeżeli są pilni i spokojniejszych usposobień, to uczęszczają na wyższe kursa do kolegium francuskiego. To byłoby dobre, albowiem taka nauka umysł rozwija, ducha podnosi, ale cóż z tego, kiedy chleba nie daje. Owszem, duch taki wypiętrzywszy ponad padół krajowéj nędzy, zniżyć się nie chce i nie umié do prac podrzędnych i dziennych obowiązków. Syn takiego szlachcica, mającego dajmy na to 100.000 reńskich a przytém (ukochane zapewne), ale zbyt liczne rodzeństwo, pomieścić się ze swemi ideami w społeczeństwie krajowém nie może. Gdyby przed nim otwartą była droga polityczna, gdyby kraj miał swoich ambasadorów i dyplomatów, tobyśmy chętnie widzieli, iżby te złote nasze rybki pływały po szerokich wodach; ale u nas dzieci nasze jak swojskie karaski grzęznąc w bagnie płytkich wód a głębokich kłopotów, nie mają do pływania dostatecznéj przestrzeni, i napróżno nieraz pletwami robią. Potrzeba wejść przeto w rzeczywisty stan kraju i wymagalności epoki i do nich się zastósować. Otóż, jeżeli wysyłamy dzieci nasze za granicę, to na Boga! nie posyłajmy ich bez celu oznaczonego, ani téż po naukę, która wiatrem nadyma a chlebem nie żywi, lecz posyłajmy ich wprost do bankierów, do kupców, do fabryk, do zakładów rolniczych i handlowych. Tam ich oddajmy na terminatorów przez dwa lub trzy lata, a to nie koniecznie w Paryżu, ale w Wiedniu, Marsylii, Bordeaux, Lugdunie, Hamburgu, Frankfurcie, słowem wszędzie tam, gdzie jest przemysł więcéj obudzony i gdzie czynność więcéj rozwinięta.

Taki bankier, dyrektor zakładu, lub w ogólności zwany „**patron**“ z chęcią przyjmie pomocnika pracującego o własnym koszcie. Nie będzie przed nim ukrywał tajemnic handlowych, albowiem zamiast obawiania się konkurencyi, liczyć może na przyszłe międzynarodowe w handlu z nim stosunki. Młody elew stanie się wkrótce przyjacielem i do-

mownikiem swojego pana, który nawzajem rozciągnie dozór nad jego moralném postępowaniem i zastąpi rodziców w pewnéj dla młodzieńca opiece i kierownictwie.

Gdy taki młody człowiek po trzech lub czterech latach odbytéj praktyki powróci do domu, to już przywiezie z sobą specyalne wiadomości, praktyczne wykształcenie, zamiłowanie porządnéj pracy i rozgałęzione stosunki handlowe. Nie będzie on już próżnym w narodzie sprzętem i nie będzie ziewał z nudów w ubogiéj Ojczyznie, ale weźmie się odrazu do wzbogacenia siebie i kraju; nabyta wiadomość i nadzieja korzyści nie dadzą mu chwili pokoju; szukać będzie onych zastósowania i sam sobie już utworzy karyerę czyli stanowisko spółeczne. Wreszcie kapitaliści nasi widząc, że mają w kraju uzdolnione do przemysłu indywidua, chętnie ich zużytecznią, pracę im ułatwią, z pomocą pospieszą. Otóż powtarzamy, iż jak na teraz kraj nasz potrzebuje ludzi użytecznych a nie dyletantów, i jeżeli który z młodych ludzi nie lubi przemysłu, lecz chce koniecznie chodzić na prawo, to niechaj tę naukę tak skończy, iżby się doktoryzował i wyszedł na profesora, albo adwokata, albo téż na urzędnika; prawnicy bowiem nieukończeni wychodzą zwykle na wichrzycieli a co najmniéj na znudzonych półmędrków, umierających najprzód ze znudzenia, a potém z głodu. — Jeżeli syn nie chce być medykiem lub księdzem a ma warstat ziemi i pragnie być gospodarzem, to niech się rolnictwa uczy tak teoretycznie jak i praktycznie, albowiem dzisiaj gospodarstwo wiejskie nie może przynieść korzyści bez nauk pomocniczych i ścisłego z częścią przemysłową połączenia. Gdy mu się zaś znaczna nie uśmiecha fortuna, to życzę każdemu młodemu człowiekowi aby wziął się do przemysłu wedle rad, które powyżéj dałem. Życzę téż, aby uskutecznienia téj rady nie odwlekano do nieoznaczonego czasu; szkoda bowiem sił młodzieńczych i szkoda dla kraju opaźniać spodziewanych korzyści. Kto nas usłucha, lub kogo przekonaliśmy, niechaj posyła synów swoich do Hamburga lub Frankfurtu, bo stósunki z temi miastami są dla naszego kraju przystępniejsze i częstsze, a miasta mniéj burzliwém tchną życiem. Niech usposobi ich na przyszłych kierowników banku rolniczego i wielu innych pożytecznych zakładów. Lecz kiedy już ten artykuł mieliśmy zamknąć na téj ostatniéj uwadze, otrzymujemy z wiarogodnego źródła wiadomość, iż wysokie władze rządowe skłonne są do zatwierdzenia statutów banku rolniczego podanych przez komitet lwowski, jeżeli

znajdą się w kraju osoby, które stając na czele tego zakładu, przedstawią rządowi dostateczną tak moralną jak i majątkową rękojmią — Władza bowiem, nie może finansowéj operacyi opierać na stowarzyszeniu rolniczem, (jako na moralnéj osobie ale ani majątkiem ani osobami nie odpowiedzialnéj) lecz chce mieć poręczenie tak w nazwiskach przedsiębiorców jak i w ich majątkach. Nie wątpimy, iż się znajdą zamożni obywatele kraju którzy to poręczenie dadzą, a dawszy go, bank ten ostatecznie ukonstytuują i nadzoru podniesionéj instytucyi się podejmą. Dlatego téż winszować sobie wzajemnie powinniśmy, iż życzenia nasze wkrótce uwieńczonemi będą pomyślnym skutkiem, a rolnictwo nasze zyska nową dźwignią, która obudzi w wielu omdlewające nadzieje.

Bliższe w tym przedmiocie szczegóły, dawać będziemy w następnych zeszytach naszego pisma. *W. W.*

Wystawa sztuk pięknych w Krakowie w r. 1865.

Zdawało się, iż po tylu klęskach jakim uległ nasz nieszczęśliwy naród, wśród nędzy materyalnéj jaka mu zagraża, i zwątpienia ktore nie jedno serce ogarnęło, zabraknie już natchnienia do sztuk pięknych i że zpod zwalisk ojczystego domu żadnéj nie wyratuje się ozdoby. Tymczasem taka jest jeszcze w duchu polskim żywotność, iż artyści nasi bezwzględnie na chłód i głód, z wytrwałością pracują i wzbogacili tego roku wystawę naszą utworami świadczącemi o ich postępie i zamiłowaniu sztuki.

Z pociechą i ze zbudowaniem dostrzegamy, iż na wystawie tegoroczněj przeważają niemal co do liczby a nawet i co do wewnętrznéj wartości dzieła naszych rodaków; ztąd téż powiedziałbym, iż wystawa nasza więcéj jest od innych zajmującą i zwracać powinna powszechną uwagę publiczności.

Tego zajęcia się i natłoku ciekawych widzów jeszcześmy na tegoroczněj wystawie nie dostrzegli, a powszechnéj obojętności tém mniéj sobie wytłómaczyć możemy, iż słyszeliśmy nieraz z ust szanownych purytanów narodowości, że „pragną widzieć na wystawie reprezentowaną sztukę narodową a nie cudzoziemską, i że im tylko to miłe, co jest swojskie“.

Podzielamy najchętniéj to zdanie purytanów, bo i nam najdroższym jest każdy dowód pracy i postępu rodaków, a szukamy skrzętnie kwiatów wyrosłych na własnéj grzędzie. Lecz właśnie dlatego, iż wystawa nasza w r. 1865 mieści w sobie tyle obrazów przez Polaków dokonanych, nie pojmujemy obojętności, jaka ją dotąd otacza. Czyliżby zgroza ubiegłych wypadków zatarła w sercach uczucie piękna, lub czyliby też zwątpienie wyrzec się kazało wszelkiéj kraju naszego ozdoby? Nie wiem; ale to pewne, iż w tym roku wystawa mniéj była dotąd uczęszczaną, a publiczność zdaje się czekać na pojawienie się jakiegoś arcydzieła, tak jak nawykła spodziewać się zawsze wielkich wydarzeń.

Tymczasem sztuka zapełnia świat liczną a rozmaitą okrasą, tak jak przyroda zdobi ziemię i ogrody rozmaitém kwieciem, w których obok róży rośnie niskopienna stokrótka, skromny fiołek i narcyz zazdrosny, ta zaś rozmaitość barw i układu, łączy się w ogólném pojęciu piękna, i przyczynia się do zwiększenia jeszcze uroku.

To samo powiedzielibyśmy o wystawie tegorocznéj, w któréj taką widzimy rozmaitość przedmiotów, iż niemal każdy artysta odzwierciedlił w obrazie swoim przeważającą w duchu zdolność i natchnienie. Każdy robi to, co najlepiéj umie i co najbardziéj ukochał, a dla tego w tych pracach jest wiele prawdy, a w niektórych wiele wdzięku.

Będziemy przechodzić kolejno znakomitsze utwory naszych artystów, późniéj zaś wspomnimy również i o obcych, gdyż i one budząc z jednéj strony współzawodnictwo a z drugiéj nastręczając nam doskonałe wzory, przyczyniły się o wiele do podniesienia sztuki naszéj krajowéj.

Zaczniemy tu od obrazu historycznego większych rozmiarów wyobrażającego Marcina Kątskiego, generała artyleryi przy odbiorze twierdzy Kamieńca Podolskiego. Obraz ten śmiałego pęzla, wykonany został przez młodego artystę Krakowianina, p. Walerego Eliasza. Dwie figury tylko wchodzą do tego dramatu: *basza turecki*, który oddając twierdzę generałowi *Kątskiemu* rzucił knot siarczysty i zapalony do beczki prochu w zamiarze, aby wszystko do góry wysadzić, i generał Kątski, który porwawszy wcześnie palący się knot, trzymał go dotąd w ręce, aż zgorzał—i wszystko ocalił. Artysta wielkie trudności miał do zwalczenia, albowiem w charakterystyce dwóch osób zamknąć musiał całą historyą tego ważnego faktu a w twarzy Turka uwydatnić podstęp i zdradę połączone z szaloném poświęceniem, kiedy w rysach generała Kątskiego miał nam przypomnieć jego przytomność, odwagę a razem

pogardę dla knowanéj zdrady. Wywiązał się z tego artysta z talentem i dał nam dowód niepospolitego w sztuce postępu, któryby w nas większą jeszcze budził pociechę, gdybyśmy się nie lękali, iż nieraz przedmiot i odwaga artysty przerastają swoją wielkością szkołę i techniczną wprawę. Nie chodzi nam koniecznie o dzieła wielkie, ale o dzieła dobre; mniéj téż pocieszamy się olbrzymim skokiem jak regularnym i wytrwałem chodem na drodze pracy i ciągłego udoskonalenia. Lepiéj więc według nas wybierać przedmiot łatwiejszy a w niego włożyć cały swój talent, jak pomijając konieczne w sztuce szczeble, wspinać się po jéj wyżynach, lub bujać po jéj obszarach. Dlatego widzimy w tym obrazie całe wytężenie sił młodego artysty, i chociaż radzi jesteśmy przyznać, iż mu się dobiedz do mety udało, to współczujemy z nim całą trudność, jaką miał w przełamaniu przeszkód, a tych byłby uniknął, gdyby szedł krok za krokiem na drodze stopniowego udoskonalenia

Drugi obraz tegoż samego artysty przedstawia młodych żebraków, kopiją olejną z Murylla wykonaną z talentem i przypominającą oryginał umieszczony w galeryi Monachijskiéj.

Nieskończenie więcéj od powyżéj opisanych prac artysty zajęły nas kompozycye do poematu Wincentego Pola *„Hetmańskie pachole“* piórem wykonane przez tegoż p. Walerego Eliasza i znanego nam już rodaka Józefa Brandta. Ci dwaj młodzi artyści zespoleni wiekiem, pracą i szkołą, dopomagali sobie wzajemnie do utworzenia tych ślicznych illustracyj, które zwiedzająca publiczność znajdzie pod trzecim i czwartym numerem katalogu. W tych drobnych ale znakomitych utworach nie wiadomo co pierwéj podziwiać, czy talent kompozycyi, czy dokładność rysunku, czyli téż wdzięczne i staranne wykończenie? W kraju naszym ubogim, gdzie arcydzieła nie są dla wszystkich przystępne a tém samém nie mogą rozpowszechniać zamiłowania sztuki, małe takie arcydziełka mogą nieobliczone pod względem moralnym i estetycznym przynieść korzyści Zachęcamy przeto serdecznie tych zdolnych naszych artystów, aby tak pięknie rozpoczęte dzieło daléj prowadzili i wzbogacili kraj illustracyą poematu znakomitego naszego pisarza, a w nowém wydaniu jego powieści, utrwalili sojusz między słynném już piórem, a wdzięcznym i gładkim ich pęzlem.

Mówiąc o pracach młodych naszych artystów, musimy odrazu przenieść się do trzeciéj sali, aby w niéj zatrzymać się przed portretem wiejskiéj niewiasty, wykonanym przez naszego Krakowianina p. Gra-

bowskiego. Nie godzi nam się zwodniczo pochlebiać talentowi, ale nam go wolno przyznać, podnieść i uczcić tam, gdzie go rzeczywiście znajdujemy. Otóż przyznamy, że mało nam się zdarzało widzieć gdziekolwiek równie dobrych portretów, jak te, które zpod pęzla p. Grabowskiego wychodzą. Posiada on geniusz kolorytu i mało mu kto pod tym względem sprosta. Nietylko umié pochwycić podobieństwo rysów, ale umié oddać onych charakterystykę i odmalować na twarzy duszę. Jest on, słowem — jednym już ze znakomitych malarzy portretów, chociaż talent jego przypisać przeważnéj części musimy wrodzonym darom, które przy pracy i gruntownych studyach postawiłyby go w rzędzie znakomitych w tym rodzaju malarzy. Jeżeli zaś tę stronę z przyjemnością w nim podnosimy, to trudno nam przychodzi pochwalić krajobrazu przypominającego zamek Tyniecki. Robił on go w chwili niewdzięcznéj, kiedy śnieg pokrywa piękności przyrody; to téż wolimy domyślać się tych piękności pod śniegiem, jak ich szukać w obrazie. Rzadko się zdarza człowiekowi być uniwersalnym, dlatego życzyćby należało, aby p. Grabowski wystawiał nam jak najwięcéj swoich portretów, a krajobrazy dalszéj jeszcze pozostawił uprawie.

Pod numerem 38 i 39 znajdą nasi goście wystawy, znakomite dwa obrazy profesora malarstwa w Gdańsku p. Stryjowskiego. Pierwszy wyobraża żydów modlących się na cmentarzu w Galicyi. Obraz ten poważny, dzieło zdolnego i pewnego w swéj sztuce mistrza, odznacza się ścisłą poprawnością rysunku i doskonałą charakterystyką. Zachowany pierwowzór wschodni twarzy, nie ujmuje mu wdzięku, ale doskonale oznacza ich pochodzenie. Obraz ten zestawiony z drugim pod numerem 39 a malującym nam flisaków pod Gdańskiem, jeszcze wybitniéj daje nam ocenić talent profesora Stryjowskiego i nakazuje nam życzyć, aby tak uzdolniony artysta zbierać mógł coraz więcéj rozmaitych typów naszéj krajowéj ludności. — Oświécenie drugiego obrazu jest mistrzowskie.

Z chęcią zatrzymujemy się znowu dłużéj przed obrazkiem niewielkich rozmiarów, ale wielkiéj wewnętrznéj wartości artysty naszego, Krakowianina Kotsissa, który nam tego roku oddał na wystawę flisaków krakowskich, oraz drugi nader wdzięczny obrazek „Sierotka i Kmiotka“. Od lat już kilku pocieszamy się rosnącym postępem tego młodego artysty w obrazach rodzajowych. Nikt lepiéj od niego nie rozumié obyczaju naszego ludu, mało téż kto zdołałby go oddać w obrazach pełnych wdzięku i prostoty. Żadnego w nich nie widzimy przymusu,

konwencyi ani maniery; wszystko tam tchnie prawdą i tak jest ujęte, z takim wdziękiem oddane, a tak swojskie, iż się z artystą współczuje, a z figurami które on ustawia, chce się zapoznawać i niemal rozmówićby się pragnęło. Panu Kotsissowi braknie tylko odwagi, może zachęty, a może téż i trochę szkoły kolorytu, któréjby za granicą nabył przez samo wpatrzenie się w arcydzieła; zresztą zaś wróży on dla sztuki rzeczywiste bogactwo w oddziale rodzajowym. I któż nie usprawiedliwi naszych nadziei, przyglądając się badawczo drugiemu obrazkowi „*Sierotka i Kmiotka.*“ — Biedne dziéwcze w jedynéj podartéj koszulce, pasie gęsi w święto Matki Boskiéj Zielnéj, kiedy mija ją kmiotka z mężem, poprzedzona córką ozdobnie ubraną i niosącą do kościoła pęk ziela do święcenia. — Ubogie dziewczątko nie zazdrości, ale zamyśliło się, i rozmierza w pokorze przestrzeń, która ją przedziela od jéj rówienniczki, strojnie odzianéj i niosącéj poważnie pęk kwiatów; kiedy ona, ani nie ma w czém iść do kościoła, ani gęsi odejść nie może. — Artysta prześlicznie scharakteryzował tę różnicę socyalnych między ludem wiejskim pozycyj, i ani bogatéj kmiotki nie znamiętnił dumą, ani sierotki zazdrością. — Widać, że pan Kotsiss nietylko jest zręcznym artystą, ale ma wyższe poczucie moralności; słowem, iż jest przytém człowiekiem poczciwym. — Przymiot ten malowania spokojnéj naszego ludu cnoty, w każdym się jego utworze odbija, i dlatego każdą jego pracę wysoko cenimy.

Znany a słynny w kraju i za granicą rodak nasz Piotrowski, profesor malarstwa w Królewcu, nadesłał nam dwa obrazy, oznaczone numerami 56 i 57 w katalogu. Tak oko nasze wprawił do swojego pędzla i tak się stał ulubieńcem naszéj publiczności, iż nikt nie potrzebuje szukać na obrazie jego monogramu, aby między wieloma rozpoznać jego dzieła i powitać piękną babulkę pieszczącą dzieci swoje i ucieszoną, że ją Bóg tak ładném potomstwem obdarzył. Znając już od lat trzech tę ładną, rumianą a nigdy nie starzejącą się wieśniaczkę, upieściliśmy już wraz z nią liczną jéj rodzinę, a chociaż zawsze przyjaźnie spotykamy się z tym rodzajem obrazów na wystawie, to przecież biegniemy obejrzyć coprędzéj drugi obraz tego samego autora, pod tytułem: „*Pożegnanie*“. Przedstawia on umierającego włościanina, który jedną ręką błogosławi syna klęczącego przy łożu śmiertelném, a drugą wskazuje na krzyż Chrystusa Pana; zdaje się on przemawiać: „iż syna Bogu poleca, Bogu, w którym on szukać ma nauki życia, opieki i pociechy“. U wez-

głowia stoi płącząca córka, nieco dalej żona; a uboga izba świadczy, iż pod tą strzechą zamieszkała cnota, ale nie bogactwo. Cały układ obrazu prześliczny, myśl budująca, wykonanie odpowiadałoby dwom pierwszym zaletom, gdyby szczupłe ramy obrazu, nie były zmusiły artysty do skrócenia łóżka w ten sposób, iż się w niém figura leżącego włościanina pomieścić nie może, i widzowie współczują z konającym niewygodne jego położenie.

Pod numerem 59 katalogu zatrzymują się widzowie przed obrazem p. Józefa Simmlera, Warszawianina. Pan Simmler popsuł nas i taki zapał dla swych dzieł obudził, to słynną w świecie artystycznym „*Królową Barbarą,*“ to znakomitymi portretami, to znowu obrazem św. Jana na puszczy, iż dzisiaj z pewném prawem dopominamy się u niego o dzieła znakomite i chcielibyśmy, aby nasze pochwały rosły wspólnie ze szczérą dla niego życzliwością Trzy Marye idące do grobu Chrystusa Pana, są w istocie pięknem dziełem tak ze względu na myśl wewnętrzną jak i pod względem wykonania. Gdyby to były zwyczajne niewiasty, tobyśmy obraz p. Simmlera między jego znakomite utwory policzywszy, ze strony tylko sztuki oceniali i wszelką temu obrazowi oddali pochwałę. Ale te trzy niewiasty są święte i do grobu Chrystusowego prowadzi je miłość pobożna i boleść, przeto nadziemskie uczucie malować się w ich obliczu powinno. — Tego wyższego namaszczenia w obrazie p. Simmlera nie dostrzegamy, a przecież rozumiemy, iż powinno być główném piętnem religijnych obrazów.

Pomiędzy krajobrazami odszukujemy z przyjemnością utworów pana Schouppego Alfreda z Warszawy, który przychylny naszemu stowarzyszeniu, w każdym roku zdobi wystawę utworami swego pęzla. Artysta ten, dyletant, dzielący czas pomiędzy rolnictwo a sztukę, obrał dla siebie rodzaj malowania krajobrazów polskich, i umyślnie zwiedza ojczystą ziemię, aby w niéj odszukać piękności przyrody i zabytków dawnéj narodu potęgi. Tą razą przysłał nam krajobraz przedstawiający ruiny zamku Ogrodzieńca. Znawcy zarówno oceniają biegłość artysty i wdzięk pęzla, jak téż i ścisłość w trzymaniu się prawdy. Autor to maluje, co jest, nie zaś to, coby chciał aby było. Niebo szare oskrzydla chmurami widnokrąg i nie pozwala przedrzeć się pogodnym promieniom słońca ku oświeceniu zwalisk. Może i lepiéj, bo tyle jest ruin na świecie, iż byłoby do życzenia, aby je chmura jaka przed okiem zakryła.

Nestor naszych artystów, dyletant p. Suchodolski January, zaszczycił

naszą wystawę obrazem przedstawiającym powrót z polowania, oznaczony numerem 62 katalogu Scena wzięta z lepszych czasów, kiedy szlachcic polski w kontuszu, zaprosiwszy sąsiadów wyruszył w pole, aby wypróbować i hartów i koni, a ścigając za szarakiem zaprawiać się do ważniejszéj hercy. Wracając z polowania, wita ich przy dworcu sąsiad albo piwniczny z podgoloną głową i pyta zapewne o powodzenie? Ani na jeźdzcach, ani na koniach nie widać zmęczenia, bo się téż to działo w epoce rycerskiéj, w któréj na fatygę wstyd się było uskarżać. Cały ten obrazek jako praca rodaka, który u nas pierwszy dał popęd ku temu rodzajowi sztuki, jest dla nas nader cennym i wdzięcznym.

P. Gerson Wojciech z Warszawy, znany już z niepospolitego talentu w świecie artystycznym, przysłał nam w tym roku dwa obrazy umieszczone pod numerami 65 i 66 katalogu. Pierwszy z nich przedstawia Łokietka w Ojcowie, drugi nazwał artysta „*porankiem*“. Łokietek stojąc oparty na skale zwrócone ma oczy na Kraków, resztę tła zapełnia piękny krajobraz. Nie możemy temu dziełu odmówić harmonijnego układu i nosi on piętno znanego już talentu autora, przecież dawne jego dzieła więcéj się podobały, a kto sobie przypomni przed trzema laty na wystawie owego górala idącego wśród zamieci śniegowéj, ten chętnie porzuci króla Łokietka a spieszyć będzie za owym wieśniakiem, w którym tyle było wyrazu, tyle uczucia i prawdy. Drugi obraz przedstawiający „*poranek*“ więcéj już rodzajowy, przypomina nam nieco górala. Jestto dziewczyna wiejska stojąca nad strumieniem w poranku życia swojego. Wschodzące słońce i wdzięk dziewczyny w przedziwnéj są z sobą zgodzie, a przyroda do obu uśmiechać się zdaje.

Pod numerem 64 katalogu znajdą goście wystawy Matkę Boską w wieńcu przez p. Kolasińskiego z Warszawy. Nie jest to dzieło wyższego rzędu, ale jest zawsze pięknym obrazem religijnym, ku ozdobie naszych kościołów, i powinienby on zastąpić tyle bohomazów, któremi niestety, świątynie nasze są przepełnione.

Młody artysta krakowski p. Strejt w Krakowie dał nam studyum olejne przedstawiające lirnika, a umieszczone pod 65 numerem katalogu. Cieszymy się z jego postępu, w nadziei, iż na przyszłe wystawy przygotuje nam obraz głębiéj pomyślany, albowiem lirniki ciągle się powtarzające i jakby niezbędne *adagio* do wszystkich studyów, już nas nieco przesyciły. Artysta winien szukać natchnienia w duchu, a brać tylko kształty z przyrody; mniéj bowiem jest poezyi w utworach,

w których jedna a wiele już razy powtarzana postać, służy artyście za jedyne tło kompozycyi.

P. Ruśkiewicz Franciszek z Warszawy przysłał nam krajobraz przedstawiający „wnętrze lasu“. Nie odmówimy temu utworowi ani doskonale zachowanéj perspektywy ani rzeczywistego wdzięku, w każdym zaś razie oddać musimy sprawiedliwość łatwości i wprawie, z jaką artysta krajobrazy swoje mnoży.

Pod numerem 63 katalogu znajdujemy obraz p. Wyszyńskiego z Warszawy przedstawiający „ratusz warszawski po spaleniu“. W nim znajdujemy jeszcze jeden więcéj obraz zniszczenia. Smutno nam patrzyć na tę świeżą ruinę, chociaż ona posłużyła artyście do wykonania pięknego obrazu, w którym linie architektoniczne czysto odrobione, a perspektywa ściśle zachowana świadczą o zdolnościach w tym rodzaju obiecującego nam wiele w przyszłości artysty.

P. Swierzyński Saturnin z Krakowa, najpłodniejszy z naszych artystów w utworach przedstawiających gmachy krakowskie i najbliższe miasta naszego okolice, dał nam tylko w tym roku jeden obraz swego pęzla, wyobrażający grób św. Jana Kantego w kościele św. Anny. Nauczeni cenić wysoko niezmordowaną pracę i usilność tego artysty, jego zamiłowanie ojczystych pamiątek i w onych zbieraniu wytrwałość, patrzymy z pewném współczuciem na każdy przyrost jego prac i jego talentu, a cieszymy się widocznym w sztuce postępem. Nie moglibyśmy się wreszcie zdobyć na surowe słowo krytyki, wobec tak wytrwałéj pracy i zamiłowania sztuki. Grób św. Jana Kantego, patrona Polski i uczącéj się młodzieży, budzi w nas miłe wspomnienia, a obok tego przyznamy, iż jest wiernie i sumiennie wykonanym, i przewyższa o wiele poprzednie jego utwory.

P. Szermętowski, którego talent wrodzony w oddziale obrazów rodzajowych tyle dla kraju obiecywał, nie zawiódł dotąd naszych nadziei a przynajmniéj tém je usprawiedliwia, iż pracując ciągle, nabywa coraz większéj wprawy, któréj ślad spostrzegamy już w ostatnich jego obrazkach. Zpomiędzy trzech posłanych na naszą wystawę dwa szczególniéj zwróciły uwagę naszą i za nie téż szczérze artyście wdzięczni jesteśmy. Pierwszy z tych obrazów nosi tytuł: „Wspomnienie z Wołynia“. Przedmiot jego nader smutny ale zajmujący. Przedstawia on kościołek ubogi, obdarty, z dachem podziurawionym, w którym rozpoznajemy ruinę kościoła obrządku katolickiego. W pewném oddaleniu maluje się nowo

budowany wspaniały gmach w stylu bizantyńskim o kopułach okrągłych. Zrozumieliśmy odrazu wszystko, i ze łzą w oku przypatrzyliśmy się obrazkowi, a uczciwszy i talent i natchnienie artysty, odeszliśmy ze smutkiem, ale nie bez nadziei, że ten biédny nasz kościółek opatrzna ręka podniesie.

Drugi obrazek tegoż samego artysty przedstawia dwa ubogie dziéwczątka niosiące lekarstwo może dla chorej matki lub ojca. Wtém ich burza wśród podróży spotkała, dészcz pada ulewny, ale ich nic nie wstrzymuje, gdyż ich zagrzewa nadzieja przyniesienia rychłego rodzicom ratunku.

Trzeci obrazek nazwany „*Po burzy*“ jest krajobrazem; widzimy okolicę, która dziś ciemna i smutna, oświecona jest tylko odblaskiem zgliszczów. W pracach tych p. Szermętowskiego dostrzegamy wiele poezyi, poezyi poczciwéj, wzniosłéj a nie czczéj fantazyi. Smutek jego natchnień nie gorszy nas, owszem nadaje się on do powszechnego ludzi myślących usposobienia; cieszymy się zaś, iż się w nim nie przebija żadna napuszysta zemsta i żadne wzgardliwe uczucie.

P. Marszewski, znakomity pejzażysta, któremu już oddawaliśmy sprawiedliwość na przeszłych wystawach, nadesłał nam tą razą „*ruiny zamku Trockiego.* Krajobraz ten niepospolite ma w sobie zalety kolorytu, perspektywy i czystości wykonania. Jezioro w tym obrazie tak pięknemi zwierciedli się wodami, iż każda z nich kropla zdaje się być kryształem.

Kształcący się dzisiaj w Brukseli p. Mirecki, Krakowianin, nadesłał nam obrazek pod tytułem „Wdowa“. Kto pamięta dawne jego utwory, ten przyznać musi znaczny w jego pracach postęp. Sama myśl jednak nie jest nowa, a choćby była nawet okolicznościową, to w chłopczyku za matką stojącym, znać krnąbrność niedorostka, śmieszną odwagę, bezsilną zemstę, i zaręczyłbym iż się ten chłopczyna źle uczy. Zatrzymawszy się chwilę przed akwarelą p. Zacharowicza pod tytułem „Mnich,“ w którym artysta chciał mnicha pokusami świata od zakonnych obowiązków odwieść (co mu się jednak nie udało, gdyż stawił w swym obrazie zbyt szpetne pokusy) -zwracamy się ku innemu obrazowi przedstawiającemu Piasta, przez znanego we Lwowie artystę, p. Schlegla. Temu obrazkowi nie zaprzeczymy wdzięku kolorytu, ale upominamy się u autora o honor aniołów, które jako czyste duchy światowych manier nie znają i łatwo nam sobie wystawić, że stanęły

pzed Piastem poważnie, jak na aniołów przystoi. P. Schlegel zbyt je ożywił, wprawił nogi do ruchu, i niemal do tańca, a zbytnie ucieleśnił; Piasta zaś tak zchłopił, że go sobie wystawić nie możemy zasiadającego w jakiś czas późniéj na tronie.

Teraz mamy rozprawę z dwoma mistrzami: tém trudniejszą, iż powszechna sława i opinia znawców wyprzedziła nas w sądzie o znakomitym talencie artystów, których utwory oceniać będziemy. Pierwszym z nich jest p. Lœffler, rodak nasz z Galicyi, który w tym roku przysłał nam znakomity obraz swego pęzla pod tytułem „Mowa kwiatów“. Jestto naturalnéj wielkości dziewica, o ile się zdaje, zamieszkująca miasto, która odebrawszy list od swego kochanka, widać jest ucieszoną, ale mimo tego z namiętnym wdziękiem przypatrując się bukietowi kwiatów, skubie w nim listki i z téj kabały chciałaby się dowiedzieć *„czy ją téż kochanek miłuje, czyli téż tylko żartuje“*. Zdaje się, iż kabała dobrze wypadła, bo dziewica jest uradowaną, i składając wdzięczne usta do umizgu, promieniem ócz miłosnych ożywia kwiaty, ożywia téż może i tych, którzy się w obraz wpatrują. Że p. Lœffler malować umié, tego za znawcami powtarzać nie potrzebujemy, ale iż takie miał natchnienie, to gotowi jesteśmy posądzić go, że on ten list pisał, i że musiał być pod tym lubém wrażeniem, gdy ten obraz malował.

W drugim obrazie p. Straszyńskiego, który nam na zakończenie tego artykułu ciśnie się pod pióro, nie chodzi już o kwiaty, ale raczéj o mniéj czystą w dziewicy namiętność. Utwór p. Straszyńskiego noszący tytuł *„Ciekawość pierwszy stopień do piekła“* jest zużyciem najpiękniejszego talentu na rzecz mniéj pożyteczną. Młoda dziewczyna silnie zbudowana, rumiana od budzącéj się w niéj namiętności, staje na stołku, aby odsłonić zakryty obraz mitologicznéj rozpusty. Wpatruje się w niego z ciekawą lubością, trzymając w ręku romans; otoczona zaś jest porozrzucanemi świecidłami światowemi. Znakomitego talentu nie odmówimy p. Straszyńskiemu. Twarz panny zdradza namiętną piękność, koloryt w ogólności śliczny, suknia różowa z atłasu z niezrównanym zrobiona talentem, fałdowanie doskonałe; cały sztelaż starannie wykonany, ale jakaż szkoda, iż jakaś myśl poczciwa, albo życzliwa ręka matki lub ochmistrzyni nie wstrzymała owéj panienki w chwili, kiedy ten obraz odsłonić miała. Byłoby to niezawodnie z wielką korzyścią i dla zbyt ciekawéj panny i dla samego autora, a tém bardziéj dla młodéj publiczności zwiedzającéj wystawę. *(d. c. n.)* *W. W.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Francya. Stronnictwo byłych rządów familii orleańskiéj we Francyi połączone z deputowanymi frakcyi republikańskiéj, a mianowicie pp. Thiers i Juliusz Favre jako naczelnicy tych dwóch stronnictw, uderzają na dzisiejszy stan rzeczy, dopominając się swobód politycznych, a mianowicie większéj wolności druku, wyboru przez Izbę prezesa reprezentacyi narodowéj, i innych. Z drugiéj strony, namiętna, niepomiarkowana, równie jak złośliwa recenzya dzieła, wydanego przez cesarza Napoleona, stara się wzniecić wzburzenie umysłów i niechęć przeciwko dzisiejszemu władcy. My, którzy byliśmy przez lat kilkanaście naocznymi świadkami parlamentaryzmu francuzkiego za rządów Ludwika Filipa, nie dziwimy się wcale dzisiejszemu rozdrażnieniu wywołanemu zmiennością usposobień tego narodu, i niepokojowi jaki ciągle ognistą duszę Francuzów pali. Chociaż bowiem nie znamy nad Francuzów szlachetniejszego narodu, i chociaż względem nich obok nieprzedawnionych obowiązków wdzięczności za chléb i opiekę dla tułactwa, żywimy miłość i szacunek, to przecież nie możemy podzielać téj zmienności wyobrażeń, niestałości politycznych przekonań i owego braku instynktów zachowawczych, które są główną wadą tego narodu. — Widzieliśmy przez lat kilkanaście, iż ów parlamentaryzm, o który się dzisiaj pobite stronnictwa upominają, tak się we Francyi zużył i wszelką stracił powagę, że nie tylko w kraju nie budził żadnego zajęcia, ale się o nim opinia publiczna w zbyt pogardiwych nieraz sądach wyrażała. Lud uważał dawną walkę parlamentarną jako proste szermierstwo ludzi ambitnych, pragnących dojść do władzy i dostojeństw, drogą gładkiéj wymowy. Uważano po prostu parlamentaryzm jako popis publiczny ludzi pysznych i chciwych. Ztąd téż w roku 1848 w czasie trwania obrad Izby deputowanych, rewolucya uliczna przewróciła razem z tronem cały ustrój dawnego parlamentaryzmu. Gdy zaś forma rzeczypospolitéj po rewolucyi lutowéj zaprowadzona, wysadziła do reprezentacyi narodowéj nowych ludzi i najdaléj w ideach wolności i równości posuniętych, to druga rewolucya czerwcowa w tymże samym roku, zabryzgała krwią ulice Paryża a błotem izbę deputowanych. Przyjście cesarza Napoleona i objęcie zwierzchnictwa w rządzie rzeczypospolitéj z zapałem przyjął cały naród francuski, jako powrót do porządku, a plebiscyt ośmiu milionami głosów

poparty, przytwierdził na jego skroniach koronę cesarską. Cesarz Napoleon znając Francuzów, nie daje téż narodowi tego czego się stronnictwa domagają, ale raczéj daje to, czego naród potrzebuje, wie albowiem dobrze, iż zachcenia i cele skrajnych frakcyi są bez żadnych granic, i ze szkodą społeczeństwa, a ciągłe ustępstwa władzy, zamiast wzmocnienia onéj i zadowolenia narodu, uważanemi są za słabość, chwiejność i pewną w rządzeniu niemoc. Wreszcie przy ustroju francuzkiego społeczeństwa opartego na fikcyjnéj zasadzie równości, szeroka wolność polityczna staje się niemożebną i wyradza się koniecznie w anarchią i pomieszanie funkcyi społecznych. Przypomnijmy sobie, iż w pierwszym roku rządów Ludwika Filipa tak zrazu wypiętrzyła swawola, iż potém same Izby przerażone następstwami danéj wolności, ścieśniać ją zaraz musiały i wyjątkowe prawa jednogłośnie uradziły. Wszystkie wówczas dzienniki a mianowicie pamflety różnego rodzaju i nazwiska, bezcześciły majestat królewski i tak osłabiały władzę, iż wszelki rząd i ład w kraju stawał się niepodobnym; jedynaście zaś zamachów królobójstwa nauczyły tak władzę jak i naród cały, iż na ułudnéj zasadzie równości jak i na kruchéj podstawie bezwzględnéj dowolności, żaden rząd w kraju ostać się nie może.

Czyliżby opozycya dzisiejsza w Izbie paryzkiéj chciała powrócić do owego stanu i otwierając wrota wszystkim namiętnościom, popychać naród ku téj saméj przepaści, nad którą zawisł już w czasie rewolucyi czerwcowéj? Czyli mu się już uprzykrzyły rządy potężnego władcy, który Francyi powrócił dawną chwałę, przeważne w świecie stanowisko ład wewnętrzny i dobrobyt powszechny?... Zdaje mi się, iż się w niebezpieczną grę wdają stronnictwa które władzę osłabić pragną; nie widzą bowiem krwawego potworu, który tuż za tronem cesarskim stoi, i tylko na osłabienie władzy czeka. Wtenczas ci panowie, którzy się dzisiaj tak namiętnie i burzliwie o swobody polityczne dopominają, nie będą dość silnymi aby powstrzymać burzę, którą wywołali, — i widziałem na własne oczy w dniach lutego 1848. tegoż samego p. Thiersa na koniu, czytającego na ulicy św. Honoryusza proklamacyą do ludu, a lud mu na nią odpowiedział gradem kamieni i piasku, tak, iż obaj ci panowie z Odilonem Barottem (twórcą projektu reformy) kłusem zmykali do rządowego gmachu, i musieli ustąpić przed burzą rewolucyjną. Wątpię aby p. Thiers był po latach siedmnastu silniejszym i więcéj w danym razie znalazł odwagi.

Austrya. Młodociany jeszcze parlamentaryzm austryacki, idąc po śladach starszych braci swoich, rośnie też w butę, i kilka razy nam już dowiódł, że i on się gniewać umié. Może ma powody, ale dotąd nie stręczy środków naprawienia złego i nie postawił żadnego programatu, ale zręcznie i z niepospolitym talentem czynności rządu atakuje, nie pomnąc na ów aksyom francuzki: „La critique est facile, mais l'art est difficile", dlatego téż minister stanu prosząc o postawienie afirmacyi, rzucił rękawicę, któréj dotąd nie podniesiono.

Parlamentaryzm w ogólności nie tylko powinien mieć na celu krytykę rządu i walkę podjazdową, zużywającą obowspólne siły, lecz ma wskazywać rządowi rzeczywiste potrzeby państwa i stręczyć mu środki onych załatwienia. Ztąd téż według naszych mniemań, korzystniej jest dla kraju wymódz na władzy dobre instytucye, jak wiecznie trawić czas nad krytyką saméjże konstytucyi. Dla naszego kraju szczególniéj konstytucya jest rzeczą obojętną, kiedy przeciwnie instytucye są nader ważnemi. Ztąd téż gdy będziemy mieć dobrze urządzoną gminę, szkoły i uniwersytety polskie, administracyą sproszczoną, sądownictwo regularne i niezawisłe, (które to instytucye jakąbądź drogą rząd nam dać może, to jest z parlamentaryzmem lub bez parlamentaryzmu) to nam się o konstytucyą troszczyć nie należy i z tego względu robić rządowi opozycyi nie mamy potrzeby. Zostawmy tę kwestyą owéj frakcyi izby, która w niéj jest bliżéj interesowaną, a my sami ograniczmy się na tém, co nas najbliżéj dotyczy i przynieśmy raczéj naszemu krajowi owoc uzyskanych instytucyi, a nie laury upornéj opozycyi, która politycznego naszego położenia nie zmieni, a władzę przeciwko nam zniechęca.

Prusy. Nie chcemy przesądzać politycznych kombinacyj i stanowczości rządów, które czyto energiczném słowem, czy téż mieczem wstrzymać zdołają Prusy na drogach nowych zdobyczy, ale nam się zdaje, iż ten sam duch, który natchnął króla Fryderyka do podziału Polski, wieje i dzisiaj ku dokonaniu zdobyczy Szlezwiku i Holsztynu. Można powiedzieć, iż Prusy zapaliły się do tego nabytku, a wytrwałością swoją zwalczyć przeszkody i znużyć przeciwników pragną. Zapewne nie przyjdzie im to łatwo, ale kto już raz stanął na téj drodze, to mu przy wytrwałości téj drogi wiodącéj do celu ubywa. My się z tego cieszyć nie możemy, gdyż z trzech państw, które się Polską podzieliły, Prusacy byli zawsze najmniéj przychylnymi naszéj narodowości i w nich będzie

mieć zawsze żywioł polski naturalnych swoich przeciwników. Może używają poddani pod berłem pruskiém niektórych szerszych swobód społecznych (płynących z organizmu ogólnego monarchii), ale jako Polacy są zawsze niemiłym żywiołem dla Rządu; a ztąd ani prawa historyczne, ani plemienność wcale nie są uwzględnionemi, wynarodowienie prowincyi nie przestanie być głównym celem władzy.

Rosya. Jak w klimacie północnych krajów przeciągłą zimę wynagradza późniéj przyroda gwałtownemi upałami, tak téż długą niewolę wynagradzają teraz ludowi rosyjskiemu szybko postępujące reformy i społeczne przeobrażenia. Nie dziwił nas dawny ustrój państwa tego, albowiem był zastósowany do stopnia oświaty i wyrobu ducha ludu rosyjskiego i płynął wreszcie ze źródła pierwotnych praw, naród ten konstytujących. Lud rosyjski nie tylko na surowość władzy nie narzekał, ale owszem w jéj sile często srogiéj, jak to było za Iwana Groźnego, a zawsze samowładnéj jak dotąd, potęgę swoją i bezpieczeństwo widział. Lud ten niewierząc w dziziejsze zasady wszechwładztwa, pojmował pochodzenie carów od samego Boga, i za ramię boże na ziemi ich uważał; ztąd téż hasłem narodowém było: „Bóg i Car!" Przy dzisiejszych wyobrażeniach hasło to wydaje nam się być bałwochwalczym wyrazem, niegodnym może wolnego ludu, ale dla Rosyi ówczesnéj było o tyle zbawiennćm, iż utworzyło jedność państwa, nie rozprószyło wyobrażeń po rozmaitych artykułach i paragrafach ustawy, ale rozrzuconą na tak wielkiéj przestrzeni ludność skupiło przy jednym wyrazistym i dla każdego przystępnym sztandarze. Gdy ta jedność państwowa silnie związaną i utwierdzoną została, przyszedł czas na wewnętrzne reformy i na danie swobód ludowi, który kilkowiekową szkołę jedności i zasad zachowawczych przebył. Z uczucia chrześciańskiego poklaskujemy tym reformom, bo nas stać na życzliwość dla przeciwników nawet naszych, ale czy podzielamy drogi, jakiemi ta reforma wszerz i wzdłuż państwa kroczy, to rzecz inna i to będzie zadaniem głębszego w naszém piśmie rozbioru. Tu tylko nadmienimy, iż Rosya w swych reformach nie przyjęła *wolności* za zasadę, ale z zasady *równości* chce dalsze swobody narodu rozwinąć. Z góry przewidzieć można, iż do przeprowadzenia *równości* w społeczeństwie nigdy nie dojdzie, a tém mniéj *wolność polityczną* uda się jéj z równości wyprowadzić. Zaczęła ona od usamowolnienia materyi a nie ducha, od wyswobodzenia namiętności a nie *prawdy*. Ztąd téż chociaż obdarzy ludność swoją ziemią, a zburzywszy

hierarchiczny porządek, zaprowadzi równość, to przewidujemy, iż ci nowi posiadacze, ci porównani w prawach do ziemi obywatele, nie przestaną być niewolnikami, albo też staną się powodem niepospolitego władzy zakłopotania.

Ameryka. Kończy się więc krwawy a smutny dramat, który tyle ofiar tak ze strony Północy jak i Południa kosztował. Stany Zjednoczone Ameryki północnéj bogactwem i organizacyą wewnętrzną silniejsze, zwyciężą zapewne ową separatkę, która żyć pod jednym dachem z despotycznym mężem nie mogła i nie chciała. Nowy przeto gwałt na niepodległość i na zasadę wolności wkrótce spełnionym będzie, a Północ żelaznemi łańcuchy przykuje swoją niewolnicę, narzucając jéj prawa swoje i wolę swoją. Rzekomo a zdradliwie pod pozorem zniesienia niewoli, znowu silniejszy nakaże zwyciężonemu uprawiać bawełnę dla swoich warstatów i sadzić trzcinę cukrową dla osłodzenia sobie trudów wojennych. Znowu wilk przemawia jak zawsze: „Baranku mącisz mi wodę“ i znowu owego baranka poszarpie i strawi. Niektórzy republikanie cieszą się z tego zwycięztwa, ale my, którzy wolność kochamy, smucimy się tym nowym gwałtem, bo w nim widzimy nowy tryumf siły nad prawem. Może kiedyś Europa dozna skutków dzisiejszego tryumfu Północy i może Opatrzność polityce angielskiéj gotuje najprzód tę niespodziankę, jako nieubłaganą *Nemezis*.

Meksyk. Szanowna i dostojna w kraju naszym rodzina odebrała w tych dniach list z Meksyku, gdzie się syn jéj do legii zagranicznéj zaciągnął. Zacny ten młodzieniec, którego osobiście znamy, pisze z Puebli, iż dotąd los Polaków w tym kraju nie jest jeszcze świetnym. Miasto Puebla leży na kończynach błotnéj płaszczyzny ciągnącéj się nieprzerwaném pasmem od Vera-Cruz. Kraj ten najmniéj jest powabnym z całego Meksyku, albowiem wśród jałowych równin wznoszą się gdzieniegdzie nagie pagórki z wszelkiéj wegetacyi obdarte i tylko zieleniejące gdzieniegdzie zakurzonemi liśćmi kaktusów. Organizacya oddziałów dotąd nie ukończona, nie pozwoliła rządowi zaopatrzyć koszar w niezbędne dla żołnierza wygody. Bogactwo mieszkańców jest w całym kraju niesłychane. Złoto i srebro przelewa się z rąk do rąk falami, ale za to drogość wszelkich przedmiotów życia i odzieży jest niezmierna. Mieszkańcy Puebli nie okazują dotąd wielkiego współczucia dla zagranicznych legionów i czekają zapewne na ustalenie się nowéj władzy. Młody nasz przyjaciel pełnym jest dobréj myśli, nadziei i otuchy, spo-

dziewając się, iż wkrótce rządy cesarza Maksymiliana przeciągnąć za sobą potrafią zaufanie większéj części ludności, tém bardziéj, jeżeli władca poznawszy ducha swéj populacyi, nie będzie drażnił uczuć religijnych tego arcykatolickiego narodu.

O PRAWDZIE
i wczesności jéj wypowiedzenia.

Miłoby to było stawać wobec samych tylko przyjaciół i przemawiać tylko do tych, którzy podzielają nasze przekonania, wzmacniać się wzajemnie; wyjaśniać małe różnice w widzeniu rzeczy, a jednoczyć się w dążnościach. Lecz nie takie niestety przypadło nam dzisiaj zadanie, bo czujemy obowiązek rozprawienia się najprzód o zasady, zanim przystąpimy do bratniéj obrady w twardém położeniu w jakiém się znajdujemy. Na przyjaciołach się więc opieramy a szukamy przeciwników, i przemawiamy więcéj do nowych adeptów, niżeli w zamiarze zjednoczenia dawnych wyznawców. W téj chwili jednak przemówić musimy jeszcze do naszych przyjaciół, to jest do tych, którzy podzielają nasze zasady, ale z pewnemi zastrzeżeniami, nie co do treści: bo oni idą czasem daléj od nas w uznaniu potrzeby innych dróg, lecz różnią się co do sposobu ich wypowiedzenia. Winniśmy odpowiedź i objaśnienia tym, którzy mówią: *„iż to prawda co mówimy, ale nie na czasie, to prawda, ale trzeba ją złagodzić“.*

Zwątpilibyśmy o prawdzie naszych przekonań, zrozpaczalibyśmy o skutku naszego słowa, gdyby ono było tylko indiwidualném naszém zdaniem, i gdyby w naszém społeczeństwie, w którém nie zbywa na ludziach o trafnym sądzie, nikt nie dochodził do naszych konkluzyi, nie zgadzał się z naszém widzeniem rzeczy; gdybyśmy tak byli odosobnieni myślą, jak jesteśmy odosobnieni naszém słowem... Możemy śmiało powiedzieć, że tak nie jest. Nie my stwarzamy nowe teoryje ale czerpiemy prawdy z tych pojęć, które się ogólnie garną dzisiaj do umysłów, pomimo że tyle wpływów stara się je zagłuszać. Nie mówimy już o pojedynczych umysłach, ale o zwrocie, gotującym się w usposobieniu ogólném.

Czemuż jednak ten ogół tak się gniéwa kiedy się mu podaje te

myśli, które już sam przeczuwa? czemuż czując potrzebę lekarstwa wzdryga na jego użycie? Bo rozpieszczono go łakociami, bo mu schlebiano zawsze aż do przesytu; a więc niedziw, że mu nie w smak gorzka prawda, choćby już nawał uczuwał przesyt tych dawniéj podawanych mu przysmaczków.

Lecz bardziéj dziwić nas musi, kiedy niektórzy ludzie widzący wszystkie choroby i niebezpieczeństwa, zgłębiwszy przyczyny i poznawszy prawdę, wstrzymują się od jéj wypowiedzenia; a co więcéj gorszą się, skoro ją ktokolwiek podniesie!. Pochwalają ducha, a potępiają ciało to jest słowo! godzą się na zasady, sprzeciwiają się ich wygłoszeniu.

I tak u nas wyrobiły się rozliczne restrykcye dla prawdy; a jeśli się jéj nie odtrąca i nie zaprzecza z góry, to się ją stara ograniczyć najpierw co do czasu, w którym się ją wypowiadać winno, potem co do sposobu w jakim się ją ma głosić. Wreszcie wielką zasadę starożytnych mędrców: „że są prawdy, które się mówi wszystkim; inne, które się mówi tylko przyjaciołom, wreszcie i takie, które winny pozostać tajemnicą między Bogiem a sumieniem“ tę zasadę ważną co do wyższych zakresów pojęć, zastósowują do kwestyi codziennych, do prawd, których wypowiedzenie w każdéj chwili i wszędzie jest obowiązującém.

Będziemy się starali odpowiedzieć po kolei na te zastrzeżenia prawdy.

I tak najpierw co do czasu, w którym je można głosić. Nam się zdaje, że na prawdę zawsze czas; inaczéj jednak niektórzy sądzą i gdyby się miało słuchać tych wszystkich zastrzeżeń i tych wszystkich względów, toby się okazało, że na prawdę nigdy nie ma czasu.

Jeźli wezmiemy pewne ważniejsze wypadki tworzące pewny okres, pewną epokę, to odnośnie do ich przebiegu, zapytajmy się kiedy nam ludzie nie idący bezwzględnie za prądem, ale stojący przy pewnych zasadach powinni wypowiedzieć swoje przekonanie?

Dziś odpowiedzą nam ludzie prawie jednomyślnie, że winni wypowiedzieć swoje zdanie przed wypadkami.

Tę téż odpowiedź dają nam ogólnie w r. 1865 ale czyliby tę samą radę dali nam w roku 1861. Cóż Krasińskiemu odpowiedział Juliusz na jego psalmy? (choć to był wieszcz, który nie przemawiał w imie indywidualnych doktryn, ale wypowiadał to co przewidział, i co mu się jasno w przyszłości objawiało). Czyliż go nie potępiano? a gdyby nawet był go naród usłuchał, czyliżby nie byli napisali nasi politycy przekształceni na historyków, że odwiódł naród od wielkich czynów?

Być politycznym prorokiem prawie jest niepodobna, jeśli się niema z góry wyższego natchnienia; z zasady samej, teoryi i rozważonego rozglądu, można wskazywać błędy, ostrzegać o niebezpieczeństwach, można o pewnych przedsięwzięciach stanowczo orzekać że są możebne lub zawodne, że sprowadzą nieszczęścia lub korzyści. Nawet można przewidywać do czego siła wypadków pchnąć społeczeństwo może, ale czy onó temu uwieży? Ostrzeżenia tego rodzaju wywołują tylko uśmiech ironiczny u jednych, którzy niczego nieprzewidują, a płynąc za prądem, wydaje im się, że stają się panami wypadków. Ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, którego nie widzą,o zdradzie któréj nie przypuszczają, o nieszczęśliwych następstwach, których się nie domyślają, braliby ci poczciwi, a ruchliwi politycy za oziębłość i uważaliby za marny postrach. Inni mniéj uczciwi okrzyknęliby je jako denuncyacyą, psującą wielkie dzieła i sprowadzającą liczne męczeństwa.

Nie powiadamy zaś wcale, aby te względy powinny były wstrzymywać wypowiedzenie prawdy przed wypadkami. Owszem uważalibyśmy to za największą zasługę, ale powątpiewamy aby rada odniosła wówczas skutek. Społeczeństwo z resztą miewa z początku zacne dążności, które się musi pochwalać; ma szlachetne pobudki, których potępić niepodobna; uczuwa niezadowolnione potrzeby, a posiada nawet legalne instynkta, którym dopiero późniéj zgubny nadają kierunek nastręczający się przewodnicy. Z nimi to więc a nie ze społeczeństwem trzeba było wówczas walczyć. Chodziło w chwilach wzrastającego życia o nadanie sprawie zdrowego kierunku, potrzeba było wtedy więcéj czynu niż słowa. Przeto, gdybyśmy mieli zstępować do reminiscencyi, to moglibyśmy zarzucić ludziom których stanowisko i działalność nadawały przewagę w społeczeństwie, że nie zdołali nadać krajowi prostego kierunku, a nie samym ludziom pióra, iż nie wygłosili swych przestróg.

Mówić prawdę w czasie burzy, trudne było zadanie!

Jakże mówić wśród wrzawy, i rozpału, jak się dać słyszyć wśród ogólnego roztroju, jakże ją wreszcie wypisać tą krwią, która płynie? Jaktu np powiedzieć matce, że śmierć jéj syna zwiększa nieszczęście kraju, ojcu zrozpaczonemu dowodzić, iż daremnemi były jego ofiary; fanatyków wstrzymać w pędzie, szalonych zwrócić na drogę rozsądku, w zrozpaczonych pobudzić nadzieję, wyexaltowanych przywieść do zbawiennego zwątpienia, roznamiętnionych do miłości, dzieci zamętu powołać do spokoju? a te wszystkie uczucia jednėm zimnėm przeciąć sło-

wem?... A jednak, gdyby się było to słowo w czyjéj piersi znalazło, gdyby był głos, coby wśród téj burzy mógł jeszcze przemówić do serc, i wśród tego rozpędu mógł zawołać: „stój narodzie, bo zginiesz“ Oh! to głos taki byłby błogosławionym, i gdyby kraj był wstrzymał, choćby o krok od téj przepaści, tobyśmy uważali głos taki, za zesłany z nieba, bo wiemy, że Bóg tylko może dać człowiekowi taką potęgę, natchnienie i posłannictwo.

Pozostaje nam dzisiaj trzecia chwila; chwila pogromu, to jest po wypadkach. Tu już prawda się uwidoczniła, przyznajemy przeto, że do jéj pojęcia niewielkiéj potrzeba sztuki, bo nam téż nie chodzi o sztukę ale o prostą prawdę. Zapytajmy, czy jéj wypowiedzenie po wypadkach jest już bezużytecznem, a co więcéj czy miałoby być gorszącém? Prawda jest z natury swojéj bezwzględną, a kiedy taką jest: to nie powinna być ścieśnianą i tajoną i gdyby tylko chodziło o jéj wyjaśnienie, to byłby już dostateczny powód do jéj wypowiedzenia. Lecz tutaj nie chodzi o samą teoryją, chodzi o jéj praktyczne do chwil obecnych zastósowanie. Życie społeczeństw jest jak łańcuch wiążących się wypadków i płynących z nich następstw. W tém życiu jedna prawda nawiązuje drugą a jedno ogniwo fałszu nawiązuje cały łańcuch błędów. Straszliwym staje się ten łańcuch, kiedy w nim wyrastają jedne z drugich ogniwa kłamu, które gotują powszechny w społeczeństwie obłąd. Że jest jednak w każdem nieszczęściu ratunek, a ten co zseła z góry wielkie na ludzkość próby, zseła jéj zarazem ważne ostrzeżenia, przeto, iżby te wyższe ostrzeżenia pojąć, i z takowych korzystać, trzeba szczerze otworzyć głębią serca, trzeba wypowiedzieć ostatnie słowo swego przekonania, trzeba słowem prawdy...

Więc po nieszczęściu, nie jest jeszcze po niewczasie dla prawdy; owszem jéj wypowiedzenie należy się dla przeszłości, którą trzeba wyjaśnić, dla przyszłości, którą trzeba ostrzedz, dla teraźniejszości, którą należy w dobrém ugruntować.

Nie mówimy już o wznawianiu minionych wypadków i obrachowywaniu ich obłędów — to już zapada się w historyi; ale chodzi o wypowiedzenie dzisiaj pewnych zasad, o zwalczanie ułud i fałszów, które podniecały społeczeństwo i weń się niejako wkorzeniły. W wypowiedzeniu prawdy po wypadkach, nie chodzi bynajmniéj o smutny tryumf, (o który to zwykle przeciwnicy podejrzywają partyą wpierw odtrąconą i któréj opinija bywała zagłuszaną) ale chodzi o zwycięztwo

zasady. Zostawilibyśmy zaiste panowanie nad zwaliskami i grobami tym którzy w nich szukają zadatków przyszłości, niech tam zasiędą wołając: „to nasze dzieło“ lecz my raz zaprzeczywszy ich władzy, wołamy dzisiaj do nich z pewném prawem: „Wasza rola skończona, dozwólcie nam naszą podjąć!... Wyście już zburzyli, pozwólcie nam odbudowywać!“

Dziwne wypadki szybko zacierają się w pamięci, a choćby pozostawiały najzbawienniejszą naukę i doświadczenie wypróbowane, to jeśli nie jest dostatecznie przypominaném i jeśli nie staje się programem dla konsekwentnéj, usilnéj, a przeciwnéj dawnemu kierunkowi działalności, to koło obłędne, w które było społeczeństwo porwaném, tak się prędko zwraca, iż jedno pokolenie może być dwa lub trzy razy świadkiem tego samego dramatu, tylko w coraz tragiczniejszém przedstawieniu. Pierwsza chwila po wielkiém wstrząśnieniu jest przeto najstósowniejszą do wypowiedzenia prawdy, i jeśli się ją opuści, lub się nie korzysta z téj całéj siły, jaką nadają wypadki, to już po zatarciu pierwszych ich śladów nie schwyci się prądu umysłów, nie skieruje się téj fali w nowe a bezpieczniejsze koryto.

Tyle co do czasu, teraz co do sposobu, w jaki ma być prawda wypowiedzianą, co do przyprawy, jaką się ma dać téj gorzkiéj potrawie.

Pewno my nie jesteśmy za rozdrażniającym lub gwałtownym sposobem. Wiemy, że ironia równie jak i namiętność nie są chrześciańskiemi kształtami prawdy. Spodziewamy się, iż nikt nam nie zarzuci, abyśmy uderzali na osobistości, nam nie chodzi o zwadę z ludźmi, ale głównie o obronę zasad. Znamy taktykę, która wpierw chce zohydzić ludzi, zanim zmierzy się z opiniami, i która zamiast walki o zasady, stawia insynuacye, i z jakiegoś ukrycia i ciemnych zakątów rzuca paszkwile; znamy tę taktykę co rozsiewa kłamliwe potwarze i roznamiętnia temi niecnemi sposobami ogół społeczeństwa. Tamtéj opinii służą te wszystkie środki, a żaden ją skrupuł nie wstrzymuje od ich użycia. My w uczciwych tradycyach, jakie nam z przeszłości pozostały, w szczérém poczuciu miłości kraju, w głębokiém przejęciu się naszemi przekonaniami, nie zstąpimy nigdy do tych zaułków, lecz wystąpimy na otwartém polu do walki za prawdę, w téj walce nie spuścimy przyłbicy, aby nas nie poznano!..... „*Ale niech prawda nie będzie drażniącą,*“ powiedzą nam! My także nie chcemy aby drażniła, lecz pragniemy, aby przekonywała, bo jak fałsz zbytnie łudził i pochlebiał, tak pragniemy aby dzisiaj nie raziła po nim prawda. Wiemy to z doświadczenia własnego, że miłość

biorą ludzie najczęściéj za słabość. Prawda, choćby poczęta *w piekle miłości,* jak mówi Zygmunt, musi być mieczem, jeśli ma rozcinać kwestye.

Są jeszcze szlachetne skrupuły, które powstrzymywują od wypowiedzenia prawdy. Wydaje się pozornie, że potępiając pewny fałszywy kierunek, odmawia się czci czystym, niewinnym ofiarom, że się potępia zarazem szlachetne i godziwe pobudki społeczeństwa. Właśnie téż sądzimy, iż w imie tych czystych pobudek trzeba gromić ich skrzywienie. Co się zaś tyczy czci naszéj dla ofiar niewinnych, to z góry wyznajemy, iż nigdy nam nie pozostaną obojętnemi te nieszczęsne ofiary, choćbyśmy wręcz potępili, i na zawsze wyrzekli się tego kierunku, jaki je na zgubę naraził. Prawda uszanuje groby i uświęcone narodu pamiątki, ale żywym winna surową prawdę i społeczeństwu szczére swoje wyznanie.

Przeto niechaj prawda tak w życiu jak piśmiennictwie i czynie odzyska całą swoją potęgę i majestat! Prawda cała, bez zastrzeżeń w każdéj powinna być głoszona chwili i w całéj swojéj treści, choćby była ostrą i bolesną.

Kto nie prowadzi regularnego rachunku swoich dochodów i wydatków, to wcześniéj czy późniéj wierzyciele mu go podadzą, ale już może zruinowanemu; otóż kto nie chce obrachować się z swém sumieniem, tego czeka ciężki sąd; kto nie chce wysłuchać prawdy szczéréj od własnych rodaków, wypowiedzianéj z całą życzliwością, to będzie musiał słuchać jéj wypowiadanéj przez obcych, przez przeciwników i to zaprawną gorzką nienawiścią i pogardą; a kto wié czyli ta bolesna chwila już i dla nas nie nadeszła?!... **Lud. Dęb....**

Listy ze wsi.

II.

Stare i nowe społeczeństwo.

Wyrobiły się u nas od jakiegoś czasu dwa społeczeństwa: stare i nowe, jedno społeczeństwo osiadłe, drugie. iż tak powiemy, koczujące; jedno zaprzągnięte do twardej pracy, drugie szerzące tylko agitacye; jedno stojące przy starych bogach, drugie stawiające sobie nowe ołtarze; jedno żywione narodu tradycyami, wypływa z przeszłości, z historycznego ducha narodu, stoi przy kościele i ojców wierze, przedstawia

rzetelne interesa kraju, dziedziczy jego zasoby, drugie żywione teoryami zagranicznemi, kojarzy się przypadkowo lub go łączy nieszczęście dzisiejszéj chwili, potrąca ono ojców wiarę, czerpiąc natchnienia w chwilowéj burzy, a reprezentuje tylko żądze i namiętności własnéj, rozgorączkowanéj piersi; a dziedziczy w niej tylko zastęp po zastępie związek po związku, dążność wyparcia tamtéj staréj społeczności, podkopania i zrujnowania jej budowli, nie mogąc sobie nawet obiecywać zastąpienia go sobą, bo to nowe społeczeństwo nie jest nawet organiczną całością.

Nie mówimy tutaj o różnicach stanów, o arystokracyi lub demokracyi, owszem jednéj i drugiéj idei znamiona okazują się w obydwóch tych społeczeństwach, a od najniższéj do najwyższéj warstwy temu staremu społeczeństwu, które obejmuje cały naród i w którém dla każdego jest wyznaczone wygodne miejsce, nowe społeczeństwo przeciwstawia swoich reprezentantów. Stara społeczność obejmuje wszystkie stany, jednoczy je w pracy i odradza w postępie; nowe społeczeństwo roztrąca cały naród, różnicą zaś główną tych dwóch zastępów jest właściwie *ład* i *nieład*. Wśród tej nowéj społeczności, to jest społeczności nieładu, najsmutniejszą rolę zajmują zabłąkane tam odłamy arystokracyi. Opuścili oni dawne stanowiska, nie zajęli nowych; wśród swego otoczenia wydają się oni jakby kwiat oranżeryjny zasadzony wśród zdziczałego ogrodu. Wyrasta tam także bujna nowa szlachta, nowa nie pod względem herbu, ale pod względem idei, w którą się przyodziała. Jest szlachta staroświecka co stoi przy tradycyach i przechowuje zasób dawnych uczuć, choć nie wypiera się uczciwego postępu. Jest znowu iż tak powiemy szlachta nowa, co się wypiera grobu ojców, a goni za oklaskami. Największy to już upadek, kiedy kto sam zapiera się swego stanowiska, zaprzecza swoim zasadom i podpisuje własną ruinę. Jeżeli czuje w sobie grzéch to niechaj się uderzy w piersi, kruszy się, pokutuje, a czynami je naprawia, ale niech się nie zapiera swojego pochodzenia. Jest stare i nowe mieszczaństwo. Jedno zacne, strzegące arki dawnych tradycyi, przemysłowe, pracowite, a zawsze dla dobréj sprawy poświęcone. Drugie napływowe, z nowych elementów złożone, lekkomyślne, i którego kolebka nie jest ani sklep, ani warsztat, lecz ulica, a ich zajęciem nie pomnażanie bogactw krajowych, ale onych egoistyczna absorbcya lub zmarnowanie.

Zapytają się nas, gdzie umieścimy ten zastęp, któren się sam na-

zywa inteligencyą? Zastęp wyrastający nie wiedzieć zkąd, a przerastający odrazu sferę do których nie dosięga nawet zasługa i praca. Przecież zajmuje on dzisiaj najszersze pole działalności. Radzibyśmy z serca widzieć ludzi, którzy ten zastęp składają, dosięgających najwyższych szczebli, gdyby na to cnotą i rozumem zasługiwali, i gdyby w rozwinięciu prawd odwiecznych szukali swego indygenatu. Owszem nic nie mamy przeciw nowym ludziom, ale mamy przeciw starym i nowym błędom i fałszom, któremi się karmią, i na których swoją nad nami wyższość opierać pragną. Nie pytamy się zkąd oni przychodzą, ale mamy się prawo pytać, gdzie idą, i gdzie społeczeństwo prowadzą? Jeżeli nam nie chodzi o nas samych, to chodzi o przyszłe pokolenia, które wiodą na bezdroże i w świat odmętu.

Jest przeto cały naród stary, który jeszcze coś w sercu zachował z przeszłości, coś jeszcze kocha, i jest naród nowy nie związany niczém i nie wstrzymywany żadną tradycyą, gdy go jakaś burza pchnie w odmęt, lub zgubne przedsięwzięcie, i może tylko w jednym wiejskim ludzie, to jest w postaci staréj chłopa polskiego, nowa społeczność nie przeciwstawia swego równowzoru. Zdawałoby się, że tam bierność aż wpadająca często w zwierzęcość, tamuje drogę agitacyom, ale i tam wyrasta z wolnością i lepszym bytem postać rolnika (gospodarza), która doskonale przystosuje się do naszéj staréj społeczności i stanie się najsilniejszą jej podstawą, a odpadnie cały swieży proletaryat, łatwy do wyzyskania przez twórców nowego społeczeństwa.

Powiadają nam, iż ta dwoistość jest może korzystnym nabytkiem czasu; i że ta nowa społeczność jest tylko zrównoważeniem tamtéj staréj, napływem nowéj użyzniającéj warstwy ziemi na nasze dawne niwy? (bo przecież wszystko zmieniać się musi, a czas odradza i przekształca ludzkość, jak i przyrodę.) Temu mniemaniu zaprzeczamy: bo to nie są z wiosną wyrastające rośliny i krzewy, ale to wiatrem jesiennym zdarte liście, a niesione nielitościwym wichrem po polach i parowach, rozwiane na wszystkie strony, topiące się we wszelkich kałach; obok tego stoją stare drzewa odarte ze swéj zieleni i wystawione na mrozy i śniegowe zamieci. Oto społeczność stara i nowa, to jak duch rozdarty na dwoje; ciężka to zima dla narodu! Społeczność starą wydała cała przeszłość; ona wewnętrznie sama z siebie się rozwinęła, wzrosła, uorganizowała; społeczność zaś nowa stworzona za dni naszych rozwijała się pod wpływami z zewnątrz płynącemi, rekrutuje się z każdego po-

kolenia rozbitych i wytrąconych jednostek, i dezerterów wszelkich szeregów staréj armii; z rozbitków wszelkich warstw społeczeństwa.— Zestawiając te dwie odmienne społeczności, nie mamy na myśli apoteozowania i bronienia bezwzględnie jednéj, a obarczania drugiéj wszelkiemi zarzutami. Bynajmniéj, zanadto czujemy wielkość posłannictwa téj staréj społeczności, abyśmy mieli zapoznawać jéj błędy i niedostatki; zanadto ją kochamy, abyśmy się wstrzymywali od powiedzenia jéj prawdy; zanadto litujemy się nad losem drugich, zanadto bolejemy nad chorobami, które rozdzieliły naszą społeczność, abyśmy z góry potępili ten drugi obóz. Mybyśmy rozdarte dwie części złączyć chcieli, mybyśmy pragnęli, aby w obu cnotliwe powróciło życie, chcielibyśmy widzieć wracające do rodzin rozpierzchłe dzieci, oczyszczone ze zgubnych natchnień, które nam wiatr zachodni naniósł w chędogi niegdyś przybytek naszego społeczeństwa. Wtenczas zniknie ta dwoistość, i nie będzie ani zbyt starych, ani zanadto młodych, lecz dla wszystkich znajdzie się wygodne miejsce, gdy bowiem nikt nikogo nie będzie chciał spychać, to nie będzie potrzeba odpychać, ale wszyscy będą się kojarzyli według możności i sił na jednéj wspólnéj drodze.

Największym łącznikiem moralnym społeczeństwa jest religija i tradycyja, jak znów pod względem materyalnym najściślej łączy z sobą ludzi wspólna *praca*. Bez tych dwóch czynników nie ma społeczeństwa. Kto nie ma wspólnych wspomnień za sobą, a przed sobą nie ma łącznej pracy, ten drugim jest obcym. Są znowu dwa inne zarzewia w życiu, które chociaż roztrącają spójną społeczność, to przecież rodzą instynkta polityczne, mniej lub więcej szlachetne, mniej lub więcej namiętne, a temi są: *agitacya i krew.* Agitacya zaciera tradycyą, a zamiast uczuć cichych lecz głęboko wkorzenionych, rozbudza ona powierzchownie, przechodowe, ale gwałtowne namiętności. Przez tradycyę kocha się ojczyznę, jak ojca i matkę, przez agitacyę można ją chwilową namiętnością jakoby kochankę umiłować. Któ1e zaś z tych dwóch uczuciów i który z tych dwóch patryotyzmów jest cenniejszy i trwalszy, stary czy nowy? to jest: czy wypływający z tradycyj, któremi się od dziecka przesiąkło, czy też podniesiony chwilową agitacyą? tego nam już nieraz fakta dowiodły.

Naród nasz ożywionym był dwoma czynnikami, a to przeważnie tradycyą i krwią, pierwszym jako społecznym, drugim jako politycznym;

miał on się ścieśnić w życiu li tylko społeczném, ale brakło mu, przyznajmy, *pracy*.

Onaby była dźwignęła całe społeczeństwo, złączyła i wzmogła go materyalnie, uszlachetniła jeszcze moralnie. Wiek nasz przeważnie zalecający pracę, dawał nam uczuwać onéj potrzebę, lecz wiek ten również poddawał nam drugą niebezpieczną broń, agitacyę. Jest to broń niespółeczna ale polityczna; a gdy nie uznano, że nam najpierwéj społeczne niedostatki trzeba było zapełnić, przeto dogadzając żądzom ogólnym, chwycono się téj politycznéj broni. Zdaje nam się, że chociaż agitacya jest potęgą, to ją przecież praca skutecznie zastąpić może, a wyższa kiedyś cywilizacya zupełnie ją usunąć powinna. Lecz gdybyśmy przyjęli w danych razach użyteczność agitacyi, to jéj użycie przed rozwinięciem jakiejś pracy, jest zawsze jak gdyby kto chciał włóczyć pole pierw niżby było poorane.

Ale co gorzéj, iż u nas włóczono na wszystkie strony pole, z którego jeszcze nawet nie pożęto dojrzałego zboża; marnotrawiono gotowe do zbioru bujne urodzaje, aby jak najprędzéj w jak najgorszéj uprawie rolę zasiewać na nowo, już nie zbożami lecz chwastami.

Zwróćmy się trochę w przeszłość, i przyglądnijmy się, czy Bóg odmówił urodzajności moralnym naszym niwom, czy téż my naszém dziwném gospodarstwem niweczymy Jego dary? Czy w istocie chciałby ten gospodarz najwyższy zmieniać system na roli naszego społeczeństwa zaprowadzając płodozmian przemiennych idei, a te lata nieurodzaju, te pokolenia roztrącone, to są może lata przejścia dwóch systemów.

Okres ostatnich lat trzydziestu przed smutną ostatnią katastrofą był właśnie epoką usiłowań takiéj przemiany przez ludzi, a może i przetwarzania z woli Boga. Dawniéj społeczeństwo nasze żyło życiem ściśle wewnętrzném, nie będąc w tak srogich jeszcze zapasach z losem, mając jeszcze bogate zasoby z przeszłości; dlatego zasypiało chwilami, a otrętwiałe na potrzeby ogólne nie czyniło spiesznych postępów, ani nowych nabytków, ale przynajmniéj nie cofało się wstecz, nie roniło nic z dawnych zasobów. Pierwszym zwrotem w nowe koryto, zawiązkiem nowéj społeczności były owe szeregi wydarte z łona kraju i rzucone w odmęt świata, słowem była *emigracya*. Nie do nas należy oznaczenie posłannictwa emigracyi, jakie na nią czekało, ciężkiéj doli jaka ją wywołała, i jéj wiernie towarzyszyła i smutnych skutków, jakie za sobą pociągnęła. Dzieje te w których zasługa i błędy, szał

i poświęcenie równoważyły się z sobą, byłyby przedmiotem osobnych studjów. Może to była wola Opatrzności, aby tą drogą naród się obliczył ze wszystkiemi czynnikami, jakie czas i tak zwana cywilizacya niesie; zmierzył wszelkie przepaście, zakosztował wszystkich goryczy; to jest tych, co mogą być lekarstwem, i tych które są trucizną, aby po téj najcięższéj próbie nabrał doświadczenia, wypróbował swoje siły i zahartował wolę swoją. Może......... lecz my jako spostrzegacze objawów społecznych, korzyści jeszcze z tego starcia idei nie rozpoznajemy; widzimy tylko, że wszystko co jest anomalją, wszystko co się rozwija nienaturalnie i sztucznie, przynosi zwykle zgubne dla kraju owoce. Życie, które spływało dotychczas z góry na dół, miało odrazu przypływać z zewnątrz; to co było naturalnym obiegiem krwi, to miało się stać sztucznem galwanizowaniem; wreszcie arkę idei dziejowych, do któréj strzeżenia były wyznaczone wyższą ręką całe szeregi obywatelstwa, tę arkę ojczystą usiłowano na obcą wynieść ziemię. Kiedy społeczeństwo w kraju, w walce nieraz ze srogim losem inne potrzeby miało do załatwienia, inaczéj się rozwijało: prądy przynoszone z zewnątrz czegoś innego się domagały, popychały kraj w inną stronę, aniżeli tego potrzeby nakazywały. Kiedy u nas trzeba było czuwać i zabiegać w codziennéj pracy, tam tworzono nowe światy, i do wszelkich czynów zaprzęgano małe siły. Burze przebiegały coraz odmienniejsze, wszystkie nieskuteczne i nieszczęsne, lecz jako wstrząśnienie dawnéj budowli, jako agitacye rodzące to, co nazywamy nowém społeczeństwem, udawały się zawsze.

Po tych kilkudziesięciu latach rozlicznych agitacyi stanęły naprzeciw siebie te jak powiadamy dwa społeczeństwa. Stara społeczność grzeszyła zbytnią biernością; niewytyczeniem sobie drogi, niezłączeniem się około jakichś sztandarów.

Nowe społeczeństwo grzeszy krnąbrnością i nienawiścią — a mówiąc *nowe społeczeństwo*, nie rozumiemy pod niém tego co dojrzewa i wyrasta za dni naszych, co nam przybywa do dawnych szeregów świeżych zaciężników, ale właśnie to co z nich ubywa i odpada; to nie jest właściwie społeczeństwem, bo nie ma podstawy socyalnéj, ani żadnego łącznika, bo poczęte wśród wielkich wstrząśnień, jest rozprzęgającym, antispołecznym żywiołem. Z kamiennéj budowli naszego społeczeństwa są to kruchy odpadłe; rumowiska walących się ścian.

Okres ten nieszczęsnych, z zewnątrz zastósowanych prób, zdaje się, że skończony.

Epoka w którój chwytano się wszelkich idei, byle nieswojskich, począwszy od karbonaryzmu włoskiego, rewolucyi francuskiéj, racyonalizmu Niemiec aż do renegactwa tureckiego, epoka ta starszliwie zamknięta. To, co się odbijało w kraju wstrząśnieniami mniéj więcéj silnemi i zawsze pewną część dawnéj budowli w gruzy zawalało, to teraz zatrzęsło najgłębszemi jéj posadami: sklepienie runęło, zachwiały się filary i zgruchotały kapitele. Nie mamy się co łudzić, dokonane dzieło! Społeczność stara rozburzona — zwaliska tylko i zwaliska wkoło!... Lecz i wstrząśnienia już skończone i można już rozpocząć dzieło odbudowania. Boimy się, aby tego słowa nie wzięto za ironią, wypowiadamy go jednak z głębi przekonania. Niewielka zasługa w chwilach konwulsyjnego drgania i kiedy te drgania i stan gorączkowy zbyt heroicznemi środkami wzmacniamy, powtarzać ustawicznie słowa: „*żywotność narodu*“ bo ta żywotność i siła tém prędzéj wywoła straszny koniec, bo w organizmie silniejszym choroba silniejsza. Ale kiedy widzimy ubezwładnione ciało zaledwie dające znaki że jeszcze przeżyło tę gorączkę, wtenczas niech nam się uwidoczni żywotność społeczeństwa, wtenczas wołajmy: to była tylko kryzis tamtéj 30'letniéj choroby, po którój dźwigajmy się do życia i zdrowia. Rozdwojone społeczeństwo gromadźmy koło wspólnych godeł; spytajmy się nowego społeczeństwa: gdzie idzie, czy da się jeszcze po manowcach wodzić? Ratujmy go i przyciągajmy do siebie, choćby tylko indywiduami. Stare społeczeństwo niech stanie silnie razem, rozpozna trzeźwo położenie — i raz przecież powie śmiało: „*jesteśmy*“ a co więcéj „*działamy*“. Olbrzymie dzieło pozostaje nam, dzieło odbudowania roztrąconego społeczeństwa z uwzględnieniem nowych jego potrzeb i postępu.

L. D.